POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 6-go stycznia 1945r. | Rok VII. Nr. 1

PRZEŁOM

1 stycznia jest umownym i formalnym rozgraniczeniem dwóch okresów. Wielkie przełomy historyczne nie kierują się jednak kalendarzem, przypadają na różne dni, miesiące i pory roku, mają swe własne, zaskakujące ludzi prawa. 31 grudnia 1944 nie zamknął żadnego szczególnego okresu, 1 stycznia nowej karty historycznej nie odwraca. W duszy człowieka gra jednak tradycja, stare nawyki, czasami przesądy. Od nowej kartki na kalendarzu oczekujemy zmian, związujemy z nią nadzieje, mówimy sobie wzajemnie: "oby było lepiej", szybko poprawiamy: "będzie lepiej". Pokolenia postępowały tak przed nami, zwyczaj przejdzie na naszych synów i wnuków. Nie nam tu ruszać z udowadnianiem, że do uzasadnienia wiary w dobry los potrzeba czegoś więcej, niż prostej zmiany daty.

WOJNA PRZEMIENIONA W REWOLUCJĘ IDEI

Przełomem historycznym, rzeczywiście rozstrzygającym o naszym losie, był natomiast 1 września 1939 r. Od tego dnia nie objawił się żaden równie doniosły moment. Bieg zdarzeń, wtedy zaczęty, nieprzerwanie trwa i coraz bardziej, w miarę przedłużania wojny, się komplikuje. Wiadomo już dziś, że wojna z Niemcami zamieniła się w rewolucję idei. Wiemy, że wojna z Niemcami zostanie wygrana, ale nie jesteśmy pewni, jak będzie wyglądał pokój. Nie tylko dlatego, że nikt nie potrafi przepowiedzieć, jaki będzie ostateczny układ sił politycznych na świecie, ale także dlatego, że Europa sama przeszła głębokie przeobrażenia i Europy tej, tyle lat zakutej w kajdany niewoli niemieckiej, jeszcze dobrze nie znamy.

Od 1939 do 1945 minęło blisko sześć lat. Jedno nowe pokolenie w tym okresie dojrzało, zaczęło rozglądać się po świecie i zastanawiać nad przyszłością. Jeżeli o Polskę chodzi, ci młodzi przeszli przez szkołę życia i gorycz doświadczeń, jakich za młodu nie zaznało pokolenie ich rodziców. Jakie są, jakie będą ideały tej młodzieży?

Nie łudźmy się, że znamy odpowiedź na to pytanie. Nie starajmy się, odpowiadając, wykpić jakimś utartym frazesem. Nie tylko młodzi, ale i reszta polskiego społeczeństwa już przeszła, względnie przejdzie jeszcze, głębokie przeobrażenia ideowe, przewartościuje dotychczasowe swe poglądy i przestawi dążenia. Utarte formułki przeszłości nie będą zapewne pasować do tych przemian. Społeczeństwo polskie nie będzie takie, jakie było przed 1939 rokiem, wywrze to olbrzymi wpływ na całość polskiej polityki. Kto z naszych mężów stanu przemian tych nie weźmie pod uwagę, będzie błądził. Dobre chęci go nie wytłomaczą. Nie zamiary w polityce się liczy, lecz osiągnięcia.

Obawy niedocenienia rozmiaru i znaczenia przeobrażeń, zachodzących zresztą w równym stopniu i w innych krajach, winna żywić szczególnie emigracja wojenna. Jej przede wszystkim grozi pozostanie antykwariatem przebrzmiałych haseł, autorytetów i nieaktualnych dążeń. Niewspółmierność warunków, w których my tutaj żyjemy i tych, w których żyją oni w kraju, czy których doświadczają na kontynencie nasi żołnierze, jest zbyt wielka. Polska, którą my tutaj spokojnie pamiętamy sprzed 1939 roku, pozostanie pod wieloma względami zupełnie inna, niż ta, o której marzą — przeobrażeni. Jeżeli tętna przeobrażeń nie wyczujemy , przywilej spędzania wojny stosunkowo spokojnie przy angielskim kominku może nas drogo kosztować.

DWA OBRAZY

Zawieruchy dziejowe, takie, jak obecna wojna, przyśpieszają zmianę czynników niestałych w życiu każdego narodu. Wprowadzają na światło jednak także elementy stałe.

W roku, który minął, wstrząsnęła uczuciami narodu tragedia Warszawy. Do Londynu doszły fotografie — po walce powstańców. Z fotografii wyjrzały na nas widma znane już z obrazów Grottgera. Czy pamiętacie wśród tych fotografii postać młodzieńca, prowadzonego przez dwóch kolegów, nad miarę strudzonego, ogłuszonego spokojem ustałej bitwy, nieprzytomnego ze zmęczenia? Jakaż siła wykrzesała takie poświęcenie, taką wytrzymałość?

Gdy pokój królował nad światem, nie tylko w kolędzie, do Poznania przyjechała w odwiedziny wycieczka polskich emigrantów z Danii, chłopów. Ciułali rok pieniądze, aby opłacić podróż do Polski. Niemi i onieśmieleni oglądali kościoły, muzea, teatry. Ożywili się dopiero, gdy wyprowadzono ich poza opłotki podmiejskiego gospodarstwa. Złoto kłaniało się gościom na polu pszenicznym, część łanów żyta szumiała dojrzałymi kłosami, część żółciła się ścierniskiem. Dwóch chłopów podjęło jeden z niezebranych jeszcze snopków i wtuliło w niego z czcią głowy:

—Pachnie, panie, to polskie żyto! — powiedział starszy z nich.

DWA CZYNNIKI STAŁE DUSZY POLSKIEJ

Obrazy Grottgera, fotografie z drugi raz poddanej Warszawy i chłopy polskie, całujące polskie zboże, to ilustracje do tej samej historii o przywiązaniu do ojczystej ziemi i o gotowości poświęceń dla Polski. To jeden element stały, na który może liczyć każdy mąż stanu, kierujący losami narodu. Drugi to niesłychana odporność Polaków.

Gdy przed 1918 rokiem nie było warunków dla spokojnego bytu w ojczyźnie, Polak emigrował. Nie szedł na gotową posadę — w Angers czy w Londynie, szedł w świat do Westfalii, do Ameryki, do Brazylii. Szedł? Wieźli go, jak bydło, obcy agenci kompanii okrętowych. Ginął w łoskocie fabryk lub w karczowanej puszczy, ale zostawał. W maju 1939 roku oglądali jednego z tych milionów pasażerowie na statku "Batory", w drodze ze Stanów Zjednoczonych. Godzinami stał w ciągu tej podróży przed mapą Polski. Godzinami patrzał na kropkę i napis: Przemyśl. Mówił najczystszą polszczyzną, chwalił się, że dzieci jego chcą osiąść znowu w Polsce i że on jedzie im szukać gospodarstwa.

A w tej wojnie losy ludzi w kraju i polskich wędrowników po świecie? Utkane historią żołnierzy, lotników i marynarzy. I zawsze ten sam cel wytrwania oraz wędrówki. I ostatecznie w końcu osiągany, choć nie przez jednostki, to jednak zawsze przez masy. Jakby historie biblijnych przypowieści. Historia narodu, który jedyny ma swe "Księgi Pielgrzymstwa", o którym Konopnicka tak prosto powiedziała:

Naród nasz silny jest, dużo poradzi,
Jak zęby ściśnie i bary podłoży,
Niechaj go tylko moc jasna prowadzi
Niech się rozwidni cel.

WOBEC PRZEŁOMOWYCH WYDARZEŃ NADCHODZĄCEGO ROKU

Rok 1945 może przynieść datę równie pamiętną, jak dzień 1 września 1939 roku. Bardziej jest to prawdopodobne teraz, niż temu rok, dwa, czy trzy. Przełom nie może nas zastać nieprzygotowanych. Elementy zmienne polityki kierownicy narodu muszą rozważyć z drobiazgowością zegarmistrza. Błąd w ocenie może się pomścić stratami nieodwracalnymi. Wśród elementów tych jest bowiem wiele takich, na które nie mamy żadnego wpływu, bo to one czynią nas zależnymi od innych. W położeniu tym jesteśmy nie tylko my sami, w sytuacji tej są i inni, nawet możniejsi. Zwiększona i zacieśniona współzależność losów narodów jest jednym z ważnych przejawów przełomu, przeżywanego dziś przez świat.

Elementy stałe każą nam odważnie spotykać przeciwności, bo nie jesteśmy z tych, których diabli szybko biorą. Pamiętajmy zresztą przy ocenie naszych możliwości, że słabną siły, bodaj równomiernie, wszystkich wplątanych w zwariowany bieg zdarzeń. Stosunek tych sił jest ten sam, co w chwili zaczęcia wojny. Z tym tylko, że u jednych zaczynają być w pełni wyzyskiwane dopiero teraz, u innych są już na wyczerpaniu, bo gospodarzono nimi lekkomyślnie. Nie jesteśmy zaś sami z tych najsłabszych. Nie jesteśmy!

Byle by wartości, którymi my rozporządzamy, nie zostały rozproszone. A tego chce nasz przeciwnik; chce, aby w chwili ostatecznego rozstrzygnięcia wojny Polacy sobie wzajemnie nie ufali, aby dopatrywali się wrogów wśród swoich, aby tonęli w waśniach, aby byli słabi niewyzyskaniem swych możliwości. Czy zdobędziemy się na gest rozumu oraz historycznej dojrzałości i odpowiemy: niedoczekanie wasze?

JÓZEF WINIEWICZ

ODPOWIEDŹ

Nowy rok zaczął się od jeszcze jednej próby fałszowania i gwałcenia woli narodu polskiego: t.zw. "Komitet Wyzwolenia Narodowego", przebywający w Lublinie, uznał się za "tymczasowy rząd" polski. Fakt ten nie zaskakuje nikogo. Rok poprzedni przyzwyczaił nas i — doskonale uodpornił na praktyki, urągające elementarnej uczciwości i zdrowemu rozsądkowi.

Każdy, komu normy postępowania przyjęte w cywilizowanym świecie nie są obce, wie, że jest to gra, prowadzona na cudzy rachunek i w cudzym — nie polskim — interesie. Uzurpatorski "rząd" nie opiera się na żadnej żywotnej sile społecznej, nie wyraża niczyich pragnień w Polsce, spełnia tylko wolę obcą. Opiera się na zewnętrznej sile fizycznej, nie ma i nie zdobędzie nigdy moralnej siły przez swobodnie wypowiadającą się wolę Polaków.

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, od pięciu lat stojący wiernie w obozie koalicji antyniemieckiej, zaangażowani w tej chwili na trzech frontach walki przeciw niemieckiemu barbarzyńcy: na polskim froncie podziemnym, na froncie południowym i na froncie zachodnim, walczący w powietrzu i na morzu — pragnęliby, aby opinia świata cywilizowanego wiedziała, że czynili to i czynią z woli prawowitych władz Rzeczypospolitej Polskiej. Tylko legalne władze Rzeczypospolitej, tu na obczyźnie i w Kraju, mają prawo wyrażania naszych pragnień i szafowania naszą krwią, której nigdy nie szczędziliśmy. Tylko one mocne są stanowić o naszym losie, jak i o losie całego narodu. Tylko im przysięgaliśmy wierność i posłuszeństwo, tylko im wierności i posłuszeństwa dochowamy.

Dla nas samych samozwańczy akt, dokonany na części ziemi polskiej, stwarza nakaz tym ściślejszego, tym bardziej świadomego skupienia się przy prawowitym Przedstawicielstwie Polskim. Zamach na prawa naszego narodu do stanowienia o sobie, do rządzenia się według swojej woli i zgodnie ze swoimi interesami — może za sobą pociągnąć wiele jeszcze faktów dokonanych, przeprowadzanych przemocą. Na każdy z nich odpowiedź nasza będzie ta sama. Każdy z nich tym silniej będzie nas skupiał przy znakach narodowych, tym silniej będzie nas zwierał w woli wytrwania na gruncie prawa, w obronie prawa, w walce o życie jednostkowe i zbiorowe według prawa.

Na ten ciężki okres, w który weszliśmy, my żołnierze mamy jedno pragnienie: aby wszyscy Polacy, gdziekolwiek są, wszyscy bez względu na przynależność partyjną i partykularne punkty widzenia czy interesy — wsparli nas swoją wolą, pełną zgodą, aby nam dali tak ważne w próbie bojowej poczucie, że wszystkie odcinki, wszystkie stanowiska wzdłuż i wgłąb przenika jedna świadomość, pomnażająca siłę każdego z nas o siłę wszystkich.

ALEKSANDER JANOWSKI



rysował JERZY FACZYŃSKI

Przegląd tygodniowy

KONTROFENSYWA RUNDSTEDTA

Ostatnie trzy tygodnie roku 1944 stały pod znakiem kontrofensywy podjętej przez najzdolniejszego generała niemieckiego marsz. von Rundstedta w Ardennach. W chwili, gdy piszemy te słowa, ofensywa ta wydaje się zatrzymana; oczywiście nie znaczy to, że nie zostanie podjęta na nowo, zwłaszcza w jakimś nowym punkcie. Niemniej można podsumować jej prowizoryczne wyniki.

Powody, dla których von Rundstedt uderzył, nie są trudne do ustalenia. Wojna na zużycie prowadzona w ostatnich czasach na froncie zachodnim, aczkolwiek z pewnością mało przyjemna dla Sojuszników, dla Niemców była na dłuższą metę nie do wytrzymania. Wiedzą oni, że od chwili uruchomienia portu w Antwerpii Sojusznicy mogli w przyśpieszonym tempie gromadzić siły i zaopatrzenie. Wiedzą, że zbliżała się wielka ofensywa sojusznicza, która w przypadku sforsowania Renu, najprawdopodobniej oznaczałaby koniec zorganizowanej obrony niemieckiej. W rezultacie dowództwo niemieckie zdecydowało się uprzedzić uderzenie sojusznicze, wykorzystując fakt, że Eisenhower nie był jeszcze gotów. Jednym słowem, chodziło o zysk na czasie, choćby okupiony dużymi ofiarami; Niemcy z pewnością łudzą się, że jeśli opóźnią ofensywy sojusznicze, to rozdźwięki między Aliantami będą się pogłębiać i że wynikające na tym tle zniechęcenie, a także rosnące zmęczenie będą mogli wykorzystać dla osiągnięcia wymarzonego pokoju kompromisowego.

Nie wiadomo jak daleko szły nadzieje niemieckie; jeśli sądzić z tego, co opowiadają jeńcy, to — bardzo daleko. Pomoć na Nowy Rok obiecywano im nawet Paryż! Zresztą bardziej prawdopodobny był inny kierunek, a mianowicie na Liège i Antwerpię, oraz na Sedan, Cambrai, Dunkierkę, gdzie broni się wciąż jeszcze oblężony garnizon niemiecki. Chodziło by w tym wypadku o rozdarcie frontu sojuszniczego i zniszczenie wielkiego portu w Antwerpii a w dalszej konsekwencji przyparcie Brytyjczyków do morza bez możności ewakuacji jak w 1940 r., zepchnięcie Amerykanów na Sekwanę. Połowiczny sukces von Rundstedta mógł doprowadzić do zdezorganizowania przygotowań sojuszniczych, co również dało by upragniony zysk na czasie.

Wypadki nie potoczyły się jednak tak, jak Niemcy się spodziewali. Niewątpliwie nastąpiło przełamanie frontu; był on trzymany słabymi siłami i brakowało odwodów, któreby mogły szybko wejść do akcji. Ale marsz w najgroźniejszym kierunku na Liège i Antwerpię został szybko zatrzymany w rejonie Malmedy. Niemcy posuwali się jeszcze szybko na zachód, ku Mozie, ale i tu zostali zatrzymani i zmuszeni do odwrotu. Wspaniała obrona Bastogne przez Amerykanów pozbawiła Niemców ważnego ośrodka komunikacyjnego, niezbędnego dla zaopatrywania sił prących na zachód.

Pogoda nie dopisała tym razem Niemcom, tak jak poprzednio sprawiła parokrotnie figla Sojusznikom. Rundstedt liczył, że w grudniu mgły i chmury zabezpieczą go przed atakami z powietrza i że w ten sposób najważniejszy czynnik przewagi Sojuszników — panowanie w powietrzu — zostanie zneutralizowany. Z początku było tak istotnie; ale niespodziewanie nastąpiło kilka dni wspaniałej pogody zimowej i lotnictwo mogło dokonać ogromnego spustoszenia wśród kolumn nieprzyjaciela niszcząc ok. 5000 pojazdów; wpływ tego na przebieg wydarzeń był bardzo wielki.

W rezultacie w połowie ub. tygodnia ofensywa niemiecka została wszędzie zatrzymana i zarówno na północy, jak i na zachodzie i na południu nieprzyjaciel zaczął tracić zdobyty teren. W szczególności III Armia gen. Pattona odniosła duże sukcesy, atakując południowy bok niemieckiego klina i przychodząc z odsieczą bohaterskiej Dywizji Spadochronowej broniącej Bastogne.

CO DALEJ NA ZACHODZIE?

Niewątpliwie Rundstedt może zapisać na poczet aktywów sporą liczbę jeńców, oraz pewne zdezorganizowanie przygotowań sojuszniczych. Wydaje się jednak, że wielkie składy nie dostały się w ręce Niemców, tak iż również pod tym względem nadzieje niemieckie nie ziściły się. Natomiast pozycja, w jakiej znalazły się wojska niemieckie nie jest zbytnio godna pozazdroszczenia. Wprawdzie nie ma jeszcze dostatecznych powodów do mówienia o groźbie powtórzenia się sytuacji spod Falaise, ale możliwości odcięcia pewnych sił niemieckich nie można wykluczyć. Odwrót niemiecki, nawet jeżeli by pogoda utrudniła akcję lotnictwa, nie byłby z pewnością łatwy i kosztowałby dużo.

Trudno sobie wyobrazić, żeby Rundstedt próbował raz jeszcze szczęścia w tym samym miejscu; natomiast trzeba się liczyć z tym, że uderzy w innym miejscu /były pewne wskazówki, że mógłby zaatakować na froncie 2 armii brytyjskiej/. Wydaje się, że posiada jeszcze pewne nieużyte do tej pory rezerwy pancerne; niemniej nowe uderzenie nie byłoby zapewne zakrojone na tę samą skalę co poprzednie. Chodziło by o niewypuszczenie inicjatywy z rąk.

Dowództwo sojusznicze z pewnością będzie się starało wykorzystać ryzykowną bądź co bądź strategię przeciwnika. Kontrofensywa Rundstedta może jeszcze okazać się spełnieniem życzenia Sojuszników, a mianowicie skłonieniem nieprzyjaciela do użycia dużych odwodów na zachód od Renu i wyjścia z umocnień linii Zygfryda. Istnieje z pewnością możliwość, że jak ofensywa Ludendorffa w marcu 1918 przyśpieszyła koniec, tak i teraz ofensywa Rundstedta, jeżeli zakończy się jego klęską, może umożliwić rychlejsze zadanie Niemcom ostatecznego ciosu.

WE WŁOSZECH I NA WĘGRZECH

Ofensywie Rundstedta towarzyszyła znacznie skromniejsza kontrofensywa Kesselringa na zachodnim odcinku frontu włoskiego. Miała ona charakter wyraźnie dywersyjny i nie wydaje się, by wpłynęła poważnie na przebieg operacji na tym froncie. Niemniej była dodatkowym dowodem, że nieprzyjaciel bynajmniej nie uważa się za pobitego.

Na froncie rosyjskim wypadki rozwijają się zgodnie z przewidywaniami. Bitwa o Węgry dobiega końca; trwała raczej dłużej, niż się na to zanosiło. Rosjanie nie dotarli jeszcze do nowej linii obronnej, która osłaniać będzie Wiedeń. Walka o Austrię będzie z pewnością bardzo zacięta i nie wydaje się, by mogła przynieść Rosjanom szybkie sukcesy, zwłaszcza, że teren sprzyja obronie.

Na głównym odcinku frontu wschodniego — w Polsce — nadal panuje trwający od pół roku zastój, ale wielu komentatorów oczekuje wznowienia ofensywy w ciągu bieżącego miesiąca. Bierność Rosjan na tym froncie wywołuje niechętne komentarze zwłaszcza w Ameryce, która — słusznie czy niesłusznie — dopatruje się w niej względów politycznych. Jakkolwiek rzecz ma się w rzeczywistości, uzgodnienie strategii sojuszniczej wydaje się pozostawiać sporo do życzenia.

WARUNEK ZWYCIĘSTWA

Jeśli zestawić sytuację na wszystkich frontach, to narzuca się wniosek, że optymizm, przejawiany po druzgocących zwycięstwach letnich nie odpowiada dzisiejszej sytuacji, gdy Niemcy zdołały okrzepnąć. Wykazały one nadspodziewaną zdolność odnowienia sił i zdecydowaną wolę walki do ostatka. W szczególności kontrofensywa von Rundstedta dowiodła, że siły niemieckie nie są jeszcze wyczerpane i że nie brak im ani doskonałego sprzętu, ani paliwa. Bezwzględność metod — mordowanie jeńców, przebieranie własnych żołnierzy w mundury amerykańskie i t.d. — wskazuje na to, że Niemcy uznali, iż nie mają nic do stracenia.

Walka z tak fanatycznym przeciwnikiem wymaga bardziej niż kiedykolwiek skocentrowania wszystkich sił i wytężenia całej energii. Toteż W. Brytania odpowiedziała na kontrofensywę Rundstedta zapowiedzią dodatkowego wzmocnienia armii przez 250.000 ludzi. W nadchodzących miesiącach każda dodatkowa dywizja mieć będzie swoje wielkie znaczenie. Na tym tle zresztą można przewidywać, że szybko rosnące Polskie Siły Zbrojne nabiorą w roku 1945 dla naszych anglosaskich Sojuszników szczególnej wagi. Będzie to wkład do wysiłku sojuszniczego, którego nie sposób zbagatelizować.

Wytężenia wszystkich sił wymaga także przywrócenie narodom sojuszniczym wiary w to, że wysiłki ich nie pójdą na marne. Słusznie pisał ostatni *"Observer"* że tylko jedna rzecz może być dla społeczeństwa brytyjskiego natchnieniem i dodawać mu sił w nadchodzących ciężkich miesiącach: "Sprawa, w którą naprawdę wierzymy; ideał, którego nie będziemy się wstydzić; głębokie i niezwruszone przekonanie o słuszności naszych celów".

Trudno sobie wyobrazić, by polityka Teheranu, prowadząca do rozbioru Polski, stref wpływów, triumfu siły nad prawem i t.d. mogła odpowiadać tym warunkom. I dlatego już nawet nie w imię zapewnienia trwałego pokoju, lecz także szybkiego wygrania wojny konieczny jest powrót do ideałów Karty Atlantyckiej, abyśmy wszyscy, nie tylko Polacy, ale i Amerykanie czy Brytyjczycy, wiedzieli, o co walczymy.

KRYZYS POLITYKI TEHERAŃSKIEJ

Czy to nastąpi? Ostatnie tygodnie ujawniły istnienie pewnego rodzaju kryzysu moralnego w społeczeństwach anglosaskich. Debaty w parlamencie i w prasie skupiają się wokół zagadnienia polityki zagranicznej. Polityka teherańska znalazła się przy tym wyraźnie pod ostrzałem. Staje się dla ogółu coraz bardziej widoczne, że podział Europy na strefy wpływów prowadzi jedynie do nowej wojny światowej.

Pod tym kątem widzenia rozpatrywana jest sprawa polska i grecka. Wydaje się, że rośnie zrozumienie, iż zalecane przez rządy sowiecki i brytyjski rozwiązanie sprawy granic Polski nie zapewni trwałego pokoju i coraz mocniej wyrażana jest opinia, że W. Brytania i Stany Zjednoczone nie powinny aprobować planowanego pokrzywdzenia Polski.

Z niepokojem też obserwuje opinia wszystkie inne objawy kostnienia sfer wpływów. Utworzenie nowego rządu węgierskiego bez porozumienia z innymi sojusznikami; wywiezienie urządzeń przemysłu naftowego należących do towarzystw brytyjskich i amerykańskich z Rumunii do Rosji; planowane stworzenie rządu austriackiego pod egidą Rosji; niedawne wydalenie Amerykanów z Bułgarii; wreszcie zlikwidowanie baz amerykańskich na terenach kontrolowanych przez Rosję — wszystko to wskazuje, że Rosja nie zgadza się na występowanie Sojuszników w jej "strefie".

Jednocześnie różne wydarzenia stawiają pod znakiem zapytania "strefę" brytyjską. Wprawdzie Rosja zachowuje osobliwe milczenie w sprawie Grecji, ale sama W. Brytania zapowiedziała możliwość przejęcia kontroli Grecji przez trzy mocarstwa, czyli w praktyce zapewne wspólnie przez W. Brytanię i Rosję. Również sojusz francusko-rosyjski wskazuje, że koncepcje Waltera Lippmanna "wspólnoty atlantyckiej" i "orbity rosyjskiej" nie są realne.

Fakty te wykazują jednak jedynie względność teorii "stref wpływów", ale jej nie przekreślają. Przekreślić ją może jedynie porozumienie między mocarstwami, wyrzekające się koncepcji teherańskiej na rzecz wspólnej polityki i wspólnego postępowania w oparciu o te same zasady poszanowania niezależności i woli narodów kontynentu.

I to jest może najpilniejsze zadanie na rok 1945.

1 stycznia 1945

ALEKSANDER BORAY

Wojna na morzu

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Oficjalny komunikat Kierownictwa Marynarki Wojennej stwierdził stratę O.R.P. "Dragon". Stratę, jak wiadomo, już wyrównaną przez wstąpienie w służbę Rzeczypospolitej identycznego krążownika — O.R.P. "Conrad". "Dragon" uszkodzony ciężko w czasie akcji wyzwalania Francji, jednak nie zatonął. Został uratowany dzięki wiedzy, sprawności i wysokiemu poczuciu obowiązku dowódcy, oficerów, podoficerów i marynarzy. Wystarczyło popatrzeć na załogę "Dragona" po wypadku, aby przekonać się, że jest to jedna zgrana rodzina, dla której służba Polsce, koleżeństwo i poświęcenie nie są odświętnym frazesem, ale twardą rzeczywistością. Zresztą całą historię "Dragona" znają Czytelnicy z prac pisarskich jego załogi, prac, których bezpośredniość i prawdziwość nie da się zastąpić żadnymi na lądzie skleconymi pochwałami. Co najwyżej wspomnieć tu można słowa jednego z brytyjskich lotników, obserwujących strzelanie okrętu: *"Tak skutecznego ognia nie widziałem nigdy w życiu".*

Uratowanego "Dragona" osadzono na mieliźnie. W następstwie okazało się, że remont się nie opłaca. Zdjęto więc zeń wszystko, co przedstawiało wartość, a sam okręt włączono jako "*blockship*" do falochronu jednego ze sztucznych portów u brzegów Normandii.

Marynarzom, którzy zginęli na "Dragonie", trwając do ostatka na stanowisku, Kraj winien jest wdzięczność i pamięć. Historia pierwszego polskiego krążownika jest krótka, ale zawiera szereg faktów, którymi nie tylko Marynarka lecz i cała Polska będzie się mogła chlubić.

Nie zmniejszyła się jednak Marynarka nasza w piątym roku wojny. Przeciwnie — powiększa się stale i nowe zdobywa wawrzyny. Ostatnio O.R.P. "Garland" zakończył chlubnie długi okres działań na wodach włoskich i greckich. Okręt ten posiada dwa rekordy: ćwierć miliona mil morskich przepłyniętych od chwili podniesienia bandery /3 maja 1940/, oraz zmierzenie szlaków morskich od Salonik do Halifaxu i od Szpicbergu do Wyspy Wniebowstąpienia.

Jak Brytyjczycy cenią polskich marynarzy świadczy sygnał nadany przez Dowódcę Floty Śródziemnomorskiej, admirała Sir John Cuningham'a, do O.R.P. "Garland": *"Wasza wydajność, czujność i niezawodna współpraca przyczyniły się wielce do zniszczenia naszego wspólnego wroga na tych wodach. Z wielkim żalem oddaję "Garlanda" spod mego dowództwa. Życzymy wam wszelkiej pomyślności i dalszych powodzeń".*

O.O.R.P. "Błyskawica", "Piorun", "Krakowiak", "Ślązak", "Burza", "Sokół", "Dzik" i "Wilk", oraz dywizjon ścigaczy, wraz z O.O.R.P. "Conrad" i "Garland", stanowią dziś wolną i niepodległą część Polski, której nie dotknął swą stopa i nie dotknie żaden wróg. Istnienie tych okrętów jest związane ściśle z istnieniem Rzeczypospolitej, jako suwerennego państwa.

U NIEMCÓW

Podobno pancernik niemiecki "Lützow" zderzył się z krążownikiem "Leipzig", przy czym ten ostatni został ciężko uszkodzony. Wypadki takie zdarzać się mogą i w najlepszych marynarkach. Tym jednak razem nie jest wykluczona możliwość, że coś się psuć zaczyna w żelaznym porządku admirała Doenitza. W każdym razie nie podniesie to sprawności bojowej okrętów niemieckich, a tym bardziej nie ułatwi położenia Niemców na Bałtyku, gdzie ich ostatnia nadzieja spoczywa we flocie.

W wojnie podwodnej też nic nadzwyczajnego nie zaszło. Ilość zatopionych statków sprzymierzonych była w listopadzie rekordowo mała. Wprawdzie Churchill ostrzega przed możliwością powrotu piratów, zaopatrzonych w nowe przyrządy taktyczne, ale utraciwszy swoje bazy na brzegach Francji, Niemcy w żadnym wypadku nie będą mogli być tak groźni jak poprzednio. Przemysł ich również zbyt silnie cierpi od bombardowań, aby mógł się zdobyć na intensywną produkcję. Nie bez znaczenia jest i kryzys personelu. Na razie dobrze byłoby, aby resztki Niemców, oblężonych w Lorient, St. Nazaire oraz w ujściu Girondy, zostały zlikwidowane, bo choć miejscowości te nie mogą już grać roli baz zasadniczych, to jednak nie jest pożądane, aby niemieckie okręty podwodne mogły utrzymywać z nimi łączność.

Komunikat niemiecki doniósł niedawno, że żywe torpedy zniszczyły śluzę przy wejściu do portu w Antwerpii. Na szczęście wiadomość, jak większość wiadomości tego typu, okazała się grubo przesadzona.

Może nie bez znaczenia jest fakt, że wzięty do niewoli przez O.R.P. "Garland", dowódca niemieckiego okrętu podwodnego zgodził się bez trudu ze zdaniem, iż Niemcy wojnę przegrali. Natomiast nie ukrywał, że "w następstwie Niemcy będą mądrzejsi". O okrucieństwach w Polsce twierdził, że nic nie wie lub, że to przesada i propaganda.

FLOTA BRYTYJSKA PŁYNIE NA PACYFIK

Wielka flota brytyjska pod dowództwem admirała Frasera odpłynęła na Ocean Spokojny, aby tam wraz z amerykańską, prowadzić operacje przeciwko Japonii. Rzecz sama przez się zrozumiała. Ale wydaje się, że czynnik strategiczny podporządkowano tu zbytnio propagandowo-politycznemu. Bo nie widzimy powodu przedwczesnego ujawniania ruchu tak dużej ilości okrętów brytyjskich i francuskich, które przechodzić musiały lub muszą przez strefy, gdzie nieprzyjaciel może przeciwdziałać różnymi środkami walki.

Tym nie mniej połączone floty amerykańsko-brytyjsko-francuskie stanowić będą na Pacyfiku taki element siły, że nawet jakieś taktyczne zwycięstwo Japończyków na lądzie czy morzu nie zdoła już odwrócić szali. Pierwszym skutkiem będzie zagrożenie Indyj Holenderskich, Burmy i Singapore oraz komunikacji na tych wodach. A jeśli zostaną przecięte, to garnizonom japońskim nie tylko na wyspach, lecz i na lądzie stałym grozić będzie klęska.

Admirał Fraser, wypływając na Pacyfik, podniósł swą flagę na nadpancerniku "Howe" /35.000 ton, 10 dział 356 m/m/. Ciekawe, że i w tym wypadku jawność posunięto może aż nazbyt daleko, bo prasa australijska /a w ślad za nią angielska/ ogłosiły, że bazą floty ma być Australia, że pancerniki będą dokowane w Sydney, a lotniskowce w Brisbane. Admirał Mountbatten pozostaje dowódcą sprzymierzonych sił lądowych i morskich w południowo-wschodniej Azji, generał MacArthur na południowo-zachodnim Pacyfiku, a admirał Nimitz na całym obszarze Oceanu Spokojnego. Wynika z tego, że adm. Fraser podlegać będzie adm. Nimitzowi.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

11 *grudnia: Lotnictwo amerykańskie w sile ponad* 2.000 *bombowców, osłanianych przez* 1.200 *myśliwców, atakowało za dnia ośrodki komunikacyjne w Niemczech i Austrii.*

—Wojska sojusznicze w dalszym ciągu toczą zacięte walki wzdłuż rzeki Roer i Saary.

—Marszałek polny H. Alexander i minister rezydent H. Macmillan udali się do Grecji w celu zażegnania walk wewnętrznych.

12 *grudnia: Ogłoszono, że w dniu* 29 *listopada br. Prezydent R.P. mianował czterech ministrów krajowych, którzy wchodzą w skład rządu w Londynie. Delegatem rządu na terytorium Rzeczypospolitej został p. Sobolewski.*

13 *grudnia: I Armia amerykańska atakuje na płd. wsch. od Düren.*

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia fabryki w Nagoii, w Japonii.

—Premier Arciszewski wygłosił exposé w Radzie Narodowej.

—Ogłoszono, że O.R.P. "Garland" powrócił do Anglii po rocznym pobycie na Atlantyku południowym i Morzu Śródziemnym.

14 *grudnia: Oddziały II Korpusu zajęły stanowiska między rzeką Lamone a rzeką Siutria.*

15 *grudnia: VII Armia amerykańska przekroczyła granicę niemiecką ustanawiając przyczółek mostowy na rzece Lauter w rejonie Wissemburga w Palatynacie.*

—Wojska sowieckie zajęły Szahy w Czechosłowacji, na płn. od Budapesztu.

—Wojska amerykańskie lądowały na wyspie Mindoro /Filipiny/.

—W Izbie Gmin toczyła się dyskusja na temat stosunków polsko-sowieckich.

16 *grudnia: Wojska niemieckie rozpoczęły silną ofensywę przeciw wojskom amerykańskim, na płd. od Akwizgranu. Wojska niemieckie przekroczyły granicę Belgii i Luksemburgu.*

—Sprzymierzeni zajęli Faenzę we Włoszech.

—Generał Eisenhower został dekorowany w Paryżu krzyżem srebrnym "Virtuti Militari" przez szefa sztabu gen. Kopańskiego.

17 *grudnia: Stoczono wielką bitwę powietrzną z lotnictwem niemieckim, wspierającym ofensywę na froncie zachodnim. Strącono* 97 *samolotów niemieckich.*

—Gubernator wojskowy Paryża gen. Koenig dekorowany został krzyżem srebrnym "Virtuti Militari".

18 *grudnia: Wojska niemieckie dotarły do Malmedy i Stavelot.*

—Oddziały II Korpusu zajęły m. Casette i m. Limisano, leżące między rzekami Sintria i Senio.

—Ogłoszono oświadczenie rządu Stanów Zjednoczonych w sprawie Polski.

19 *grudnia: Wojska niemieckie przecięły drogę Liège-Bastogne.*

—Lotnictwo brytyjskie bombardowało w nocy z 18/19 niemieckie okręty wojenne w Gdyni.

20 *grudnia: Wojska amerykańskie odbiły m. Monschau na granicy belgijsko-niemieckiej.*

21 *grudnia: Opór Sprzymierzonych w rejonie Malmedy wzrasta.*

22 *grudnia: Wojska niemieckie dotarły do Bastogne i Laroche w Belgii.*

23 *grudnia: Niemcy dotarli do St. Hubert w Belgii.*

—Lotnictwo Sprzymierzonych atakowało silnie wojska niemieckie na froncie zachodnim.

24 *grudnia: Czołgi niemieckie dotarły do rejonu Rochefort na wsch. od Mozy.*

25 *grudnia: Wojska polskie przekroczyły rzekę Senio we Włoszech.*

—Premier Churchill i min. Eden przybyli do Aten, aby doprowadzić do porozumienia stronnictw w Grecji.

—W Moskwie ogłoszono, że w Debreczynie powstał prowizoryczny rząd węgierski.

26 *grudnia: Rozpoczęła się bitwa o samo miasto Budapeszt.*

27 *grudnia: Niemcy ogłosili, że III Armia amerykańska rozpoczęła przeciwuderzenie w Belgii.*

—Ogłoszono, że rząd francuski wysłał do komitetu lubelskiego oficera, delegata dla spraw jenieckich.

—Przedstawiciele greckich partyj politycznych zażądali ustanowienia regencji w Grecji.

28 *grudnia: Ogłoszono, że wojska amerykańskie kontratakując od północy wojska niemieckie zajęły Mauhay i Grandmeuil w Belgii.*

—Wojska niemieckie rozpoczęły kontratak przeciw pozycjom amerykańskim we Włoszech.

29 *grudnia: Wojska amerykańskie kontratakują Niemców od południa w rejonie paru mil na płn. od Bastogne.*

—Wojska sowieckie wdarły się na ulice Budapesztu.

30 *grudnia: Wojska amerykańskie atakują Niemców w Rochefort w Belgii oraz od południa.*

—Król Grecji mianował arcybiskupa Damaskinosa regentem.

31 *grudnia: Sprzymierzeni odbili Rochefort na wschód od Dinant.*

—Komitet lubelski ogłosił się prowizorycznym rządem.

Ostatnia akcja O.R.P. "Dragon"

Na pokładzie O.R.P. "Dragon"
9.VII.44

OKRĘT STRACIŁ RÓWNOWAGĘ, A JA HEŁM

—Co melduje obrona przeciwawaryjna okrętu?

—Połączenie zerwane, panie komandorze — odpowiedziałem niemal automatycznie.

Kręciłem się w gryzącym dymie, wydobywającym się spod pokładu. W uszach mi szumiało okropnie, a swąd palącej się ropy i materiału wybuchowego — dusił w gardle. Przy tym, ten zapach amoniaku . . . Nie mogłem opamiętać się jeszcze i niezupełnie nawet wiedziałem co się stało i jak się to wszystko stało. Okręt przechylał się na lewą burtę, tworząc z dolnego i górnego pokładu niebezpieczne pochylnie. Nie wiedziałem co mam ze sobą robić. Wyczuwałem podświadomie, że należy jak najszybciej wynieść się z tego miejsca, ale . . .

Gdzież się podział mój hełm? Szukałem go już czas jakiś i nie mogłem znaleźć. Gdzież do diabła ten cholerny hełm? Kręciłem się w kółko w poszukiwaniu najmniej potrzebnej w takich wypadkach rzeczy. Traciłem czas, gdy za chwilę przyjdzie może skakać za burtę.

JAK SIĘ TO STAŁO?

Staram się dziś jeszcze przypomnieć sobie jak to się stało i odtworzyć przebieg całej sytuacji. Siedziałem na kawałku pnia na stanowisku zastępcy dowódcy i znalazłem się nagle na odciągach tylnego masztu. Łapiąc się ich instynktownie, zsunąłem się na blachy spardeku. Uratowania kilku żeber nie zawdzięczam naturalnie przytomności umysłu, tylko zwykłemu zbiegowi okoliczności i instynktowi samozachowawczemu.

Jak to było? Jak to się wszystko stało?

Aha . . . Już wiem . . . Przypominam sobie. Siedząc bokiem do miejsca, którędy poszedł wybuch, kącikami oczu zobaczyłem blask jego i usłyszałem huk. Poczułem pod nogami jakiś chrzęst, jakby trzask łamanego drzewa, jakieś zgrzyty, obsuwanie się czegoś i ogólne drżenie okrętu.

Trwało to tak krótko, tak strasznie krótko, tak . . . że po prostu nie można tego objąć ani czasem, ani nawet wyobraźnią. Coś mnie dmuchnęło po twarzy, lecz to "coś" było tak mocne, tak gwałtowne, że spowodowało dotkliwy ból i ucisk wzdłuż całego ciała. Czułem, że oblewa mnie jakiś płyn. Po fizycznym bólu podmuchu — orzeźwiające uczucie czegoś chłodnego.

Traciłem jednocześnie grunt pod nogami, lecz czułem, że to nie pokład ucieka mi spod nóg, lecz że sam staję się lekki, uciekam gdzieś w górę i płynę w powietrzu. Jakieś mocniejsze szarpnięcie głowy . . . przeszkoda . . . jakieś liny . . . kurczowe łapanie się ich, wreszcie ześlizg i lądowanie w pozycji siedzącej.

Zerwałem się gwałtownie. Nie wiedziałem co się stało, lecz zorientowałem się, że czegoś mi brakuje. Aha . . . Hełmu i kominiarki. Tak . . . Hełmu . . . Uwaga skupiła się na tym nic nie znaczącym przedmiocie. Gdzież się podział ten hełm? . . . Wróciłem po niego na stanowisko i zawzięcie szukałem po wszystkich zakamarkach.

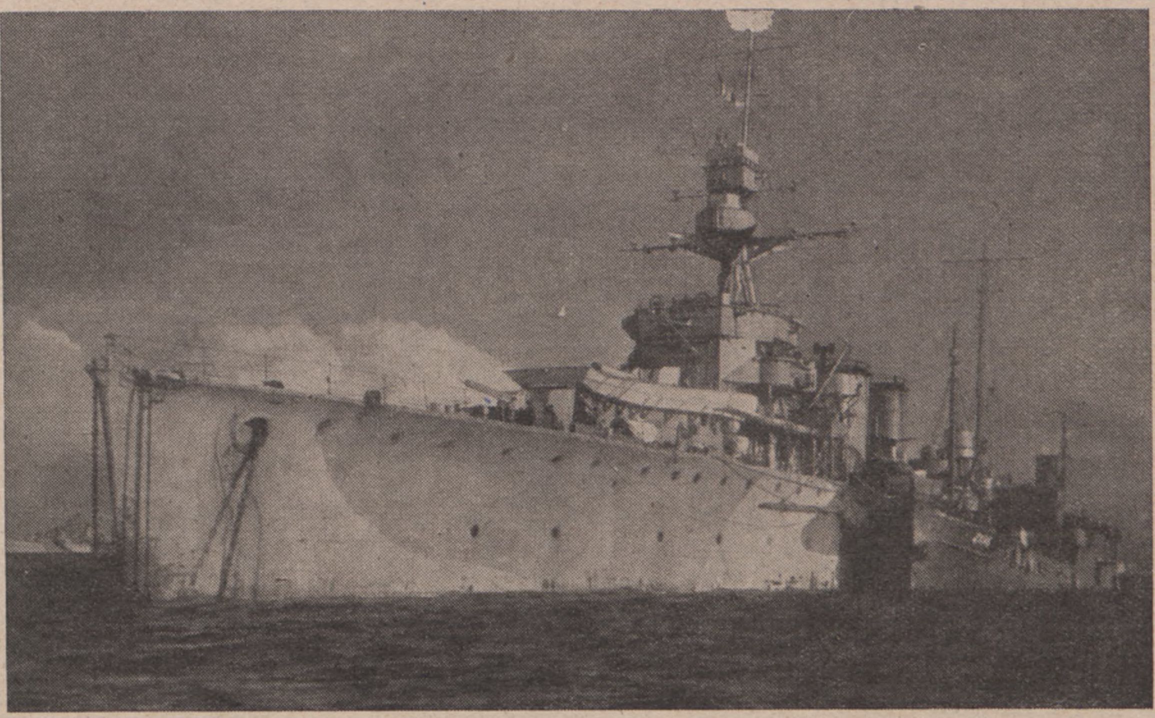
Z półświadomości tej wyrwał mnie głos zastępcy dowódcy pytający co O.P.A. melduje. Kręciłem automatycznie korbką telefonu i automatycznie odpowiedziałem.

Oprzytomniałem jednak nieco i dopiero wtedy zorientowałem się co się stało. Zostaliśmy trafieni.

PIERWSZE WRAŻENIA I PIERWSZE ODRUCHY

Spod pokładu wydobywały się kłęby dymu i pary. Do uszu dochodziły nawoływania i jęki ludzkie. Ktoś tam żył ostatnie może sekundy życia. Myśl o własnym moim bezpieczeństwie oprzytomniła mnie do reszty. Skoczyłem ze stanowiska i piorunem znalazłem się na pokładzie.

Jak długo to wszystko trwało od czasu wybuchu, trudno mi teraz powiedzieć. Wiem, że były to sekundy, które wtedy wydawać się musiały wiekami. Biegnąc w dół na pokład, uprzytomniłem sobie, że jestem cały zlany ropą. Zrzuciłem "*duffel coat*", zbliżając się jednocześnie do najbliższej tratwy.



O.R.P. "Dragon" — pierwszy krążownik Polskiej Marynarki Wojennej, zastąpiony przez O.R.P. "Conrad"

Błysnęła mi myśl, czy aby nie zdjąć butów? /Byłem w ciężkich, z cholewami, butach pokładowych./ Lecz przebłysk świadomości, że nie było jeszcze rozkazu opuszczenia okrętu oraz tak często słyszane przez nas słowa dowódcy i zastępcy dowódcy okrętu, że "krążownik nie tonie tak szybko", słowa, które przypomniały mi się w tej chwili — podziałały na mnie hamująco.

AKCJA RATUNKOWA

Na okręcie panował spokój. Zobaczyłem zastępcę jak z jakimś marynarzem nachylał się nad wejściem do maszyn, skąd dochodziły głosy i jęki. Poza tym wszędzie panowała cisza.

Dziwiłem się dlaczego jeszcze nie słychać rozgłośni. Wiem, że każdy z nas, tak jak i ja, czekał na głos ludzki. Najmniejsza oznaka życia, jakiś rozkaz, poderwałby nas tak, jak głos zastępcy dowódcy doprowadził mnie do przytomności. Rozgłośnia musiała być uszkodzona.

Biegłem w kierunku zastępcy, a za mną kilku innych marynarzy. W tejże samej chwili, zastępca wzywał nas do siebie, aby nieść pomoc kolegom znajdującym się pod pokładem.

Nareszcie odezwała się rozgłośnia. Najpierw szum w gigantofonach, a potem rozkaz:

—Wszyscy z dolnych pomieszczeń na górę.

—Nadmuchać pasy.

Przystanąłem na moment, dmuchając pas, mimo że zawsze chodziłem z napół nadmuchanym. Za mną zatrzymali się i inni. Wreszcie skoczyliśmy na miejsce, gdzie stał zastępca.

Ciemne, pełne dymu — niesamowicie groźnie wyglądało miejsce, w którym podmuch wyrwał sobie korytarze i zrobił ujście. Wyjście z maszyn zostało zatarasowane połamanym żelazem i blachami. Nadbiegł oficer mechanik, pporucznik Kubicki, przybył bosman Karnowski. Zaczęliśmy odwalać kawały połamanego żelaziwa, aby dostać się do wnętrza, z którego dochodziły głosy. Przez utworzoną wyrwę, spuszczono linę, lecz zatrzymała się na jakiejś przeszkodzie. Wyciągnięta do góry, cała była unurzana w ropie. Dolne więc kondygnacje okrętu zostały zalane niemal do samego pokładu. Okręt przechylał się coraz bardziej.

Przeszedłem na lewą burtę okrętu i przeraziłem się. Na lewą poręcz patrzyłem z wysoka. W pewnym momencie zjechałem jak na nartach w kierunku spadku i zatrzymałem się w połowie pokładu. Kilku ludzi, nie wiem nawet kto, pochylało się nad leżącym na pokładzie, prawdopodobnie rannym marynarzem. Pośpiesznie wróciłem na prawą burtę.

Spod pokładu dochodziły jeszcze głosy, lecz cichły z każdą chwilą. Od czasu do czasu dochodził jeszcze rozpaczliwy jęk, lecz potem słabł, słabł, słabł.

"Dragon" przechylał się coraz bardziej, a przechylając się, obniżał rufę.

W dalszym ciągu usuwaliśmy zwaliska i kawały żelaza. Na okręcie spokój. Ani cienia paniki, najmniejszego objawu zamieszania. Artylerzyści i oerlikoniści na stanowiskach tak, jak przed wybuchem. Drużyny O.P.A. i inni, niezatrudnieni w artylerii oraz maszyniści, usuwają złom, wyrzucają za burtę kawały drzewa, które spadły na pokład i utrudniały poruszanie się.

WALKA O ŻYCIE OKRĘTU

"Dragon" przechylił się jeszcze bardziej.

Lecz nie tak łatwo zatopić mocarza. Można go zranić, nawet śmiertelnie, lecz mocy jaką posiada, nie można odebrać tak — natychmiast.

Cała załoga zrozumiała wtedy, że nie możemy dopuścić do zatopienia naszego jedynego krążownika. Gdyby chociaż zatonął i skrył się w głębinach, ale może osiąść rufą na dnie, a dziobem i masztami "sterczeć", jak na urągowisko polskiej marynarce, polskiej banderze, CAŁEJ POLSCE. Przejeżdżający marynarze będą wyjaśniać: "*That's a Polish cruiser*", a niemiecka propaganda zarzuci Polskę ulotkami z fotografią jedynego polskiego krążownika "WRAKA". Za wszelką cenę nie można do tego dopuścić.

—Zatopić komorę trzy — odezwał się głos z pomostu.

Niebezpieczeństwo pożaru, a związana z tym obawa wybuchu komór amunicyjnych nie minęły, mimo, że para z popękanych przewodów odcięła dostęp powietrza i stłumiła pożar jak automatyczną gaśnicą.

—Rozbroić bomby głębinowe i wyrzucić je za burtę — padł następny rozkaz.

Torpedominerzy rzucili się do rozbrajania bomb i za chwilę rufa została odciążona.

—Przenieść pociski artyleryjskie na prawę burtę — słychać głos rozgłośni.

—Skierować działa na prawą burtę i obniżyć wyloty luf.

—Wyrzucić ciężkie przedmioty do wody i odciążyć lewą burtę — grzmi rozgłośnia.

—Przejść wszyscy na prawą burtę — pada dalszy rozkaz.

—Spuścić kuter, motorówkę i łodzie wiosłowe na wodę.

Grupki marynarzy wykonywały rozkazy bez oglądania się, bez szmeru. Ze spokojem, rozwagą, jak gdyby były to ćwiczenia.

Porucznik Kubicki dwoił się i troił, kierując pracami ratowniczymi. Unurzany w ropie, z elektryczną latarką ratowniczą na głowie, już nie wiem który raz wchodził pod pokład sprawdzając wytrzymałość grodzi wodoszczelnych, sprawdzając przechyły i zanurzanie się rufy. Kierował akcją ratowania okrętu i ratowania marynarzy.

"NIEBEZPIECZEŃSTWO MINĘŁO"

Z lewej burty już nowa drużyna niosła pomoc ludziom odciętym pod pokładem. Gdzie zachodziła obawa nowego niebezpieczeństwa, tam porucznik Kubicki szedł pierwszy, tam jego krótkie, jasne rozkazy dodawały sił marynarzom. Był przy tym spokojny, opanowany, wszystko wiedzący i przewidujący. Kawał granitu bez nerwów i najmniejszej myśli o sobie i własnym bezpieczeństwie. Ratował okręt, a z nim imię Polskiej Bandery. Informował ciągle pomost o postępujących pracach. Pamiętał o wszystkim.

Głosy pod pokładem ucichły w tej części okrętu. Na nic nie zdała się niesiona im pomoc. Ucichło wszystko, a ci, którzy tam byli — ucichli na wieki.

Z lewej burty marynarz Malańczyk już szósty raz szedł pod pokład przez szparę powstałą na skutek pęknięcia pokładu i już szóstego marynarza wyciągał tą drogą. Starszy marynarz Klaja, kinooperator okrętowy, szedł z nim do pomocy. Brodząc po szyję w ropie, czołgając się po poprzerywanych i pokręconych przewodach, narażając się na zatrucie gazami, lub przyciśnięcie przez kawał wolno zwisającego żelaza — obwiązywali linką przyczepionych kurczowo i napół przytomnych marynarzy i wyciągali w kierunku szpary, gdzie odbierali ich już inni, stojący tam koledzy i lekarz. Jednego jednak nie można już było wyciągnąć. Leżał przyciśnięty przewodem i choć przytomny był jeszcze, prosił aby go zostawić, gdyż trzeba by było odciąć nogi. Klaja zrobił mu tylko zastrzyk, aby nie czuł tak okropnego bólu.

Przechył zaczął się powoli zmniejszać i okręt wyprostowywał się do normalnego położenia, z rufą jednak zanurzoną w sposób zastraszający.

—Niebezpieczeństwo minęło. Dalej zachować spokój. Zająć się kolegami i rannymi — ogłasza rozgłośnia.

Niebezpieczeństwo minęło. Niebezpieczeństwo minęło. Westchnienie ulgi wydobyło się z naszych piersi. Więc jednak istniało. Byliśmy bliscy zatonięcia. Byliśmy bliscy utraty okrętu. Jeszcze raz każdy westchnął z ulgą i pozwolił na odprężenie napiętym nerwom.

Odnoszono rannych na Izbę Chorych, gdzie lekarze już przed tym ratowali od śmierci ciężko pokaleczonych ludzi, zestawiali połamane nogi, zszywali. Tam nikt nie pamiętał o własnym bezpieczeństwie. Tam pracowali ludzie, którzy poświęcali się dla nieszczęśliwych.

Z krążownika stojącego niedaleko nas odezwały się strzały oerlikonowe. Czerwone pociski odbijały się od wody i sprawiając wrażenie wolno unoszących się piłek — ginęły w oddali.

OSTATNIA DROGA

Słońce już wschodziło. Do burty dobijała pierwsza pomoc w postaci korwety.

—*Can I help you?*

Naturalnie *help* i to natychmiast. Weź na hol, odciągnij od tego miejsca, bo zaraz zaczną padać pociski niemieckiej artylerii. Amerykańskie kutry dobijały do burt, aby w razie potrzeby nieść pomoc ludziom. Kotwica — druga kotwica w czasie działań u wybrzeży Normandii została na dnie.

Zaczęło się holowanie. Powoli, niezdarnie lecz stale, oddalaliśmy się od miejsca, które mogło stać się naszym grobem.

—Wawrzyn — żyjesz?

—Józek, jak się czujesz?

—Coś taki blady, aż zielony? — zapytano mnie z kolei.

Pytający jednak nie błyszczał zdrowszymi niż moje — kolorami twarzy. Przygnębienie malowało się na wszystkich. Nasz jedyny krążownik. Duża strata. Kilkudziesięciu kolegów, a nas co raz mniej. Szczerbi nas wojna.

Lecz nie straciliśmy okrętu. Został uszkodzony, to prawda. Może nawet admiralicja odstąpić od reperowania go, może nam dać inny krążownik, może . . . Zresztą, nie wiem co zrobi admiralicja. Grunt, że okręt nie zatonął, że na nim jesteśmy, że pływa, że bandera nadal nad nim powiewa, że

"DRAGON" NADAL ISTNIEJE.

W parę dni później

Była to jednak ostatnia akcja "Dragona". Część załogi opuszcza okręt. Ładujemy się na barki. Sygnał "Baczność" i odpływający żegnają stary, wierny okręt, który choć krótki czas był w naszych rękach, jednak nie przyniósł ujmy, ani wstydu polskiej marynarce wojennej.

Żegnaj "Dragonie!" Nie zginie pamięć po Tobie, jak również nie zginie pamięć i po tych, którzy polegli w przedziałach Twoich maszyn, w komorze amunicyjnej i przy dziale Numer TRZY. Żegnaj!

STANISŁAW SIKORSKI

"ACHTUNG!"

"Achtung, achtung, polnische soldaten!"
Słowo strachem zamiera na wargach,
Tupot nóg. Krótka seria. I "achtung . . ."
Rozpaczliwe. Żałosne. Jak skarga.

"Achtung, achtung! Już idą. Są blisko.
Jakaż siła przez zapory ich niesie?!"
"Haende hoch!". Zrozumiałe jest wszystko.
To Polacy biorą odwet za Wrzesień.

Przerażony, skulony "Naród Panów"
Już spokorniał. Już błaga i jęczy,
Jakby Polski nie widział w obozach,
Jakby nigdy nikogo nie dręczył.

Barbarzyńcy spuszczeni ze smyczy — —
Barbarzyńcy pełni chamstwa i buty — —
Teraz dla was barak i prycza!
Teraz dla was kolczaste druty!

Achtung! Słyszysz? Rzucaj karabin!
Błysk bagnetów to przykry widok —
Wyłaź z bunkra! Ręce na głowę!
Achtung! Słyszysz? Polacy idą!

Achtung Niemcy! Rachunek jest krwawy,
Zaczynamy dziś krwawą zapłatę.
Aż usłyszą ruiny Warszawy —
"Achtung, achtung! Polnische soldaten!"

RYSZARD KIERSNOWSKI

Polonusy w Burmie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

O dziesiątej rano, mając za sobą całonocny marsz, czoło kolumny poczęło się zbliżać do linii grzbietu pierwszego pasma wzgórz Arakańskich. Ścieżka, jakby zmęczona ciągłymi zakosami, biegła teraz idealnie prostą, prawie pionową linią ku przełęczy, a czarno-zielone pionki wspinającej się kolumny, zdawały się cudem tylko przylegać do jej powierzchni. Na wąskim grzbiecie, w postrzępionym cieniu rzadkich bambusów, plutony i kompanie czarnych, spoconych ciał próbują złapać oddech. Góry, to nowość dla muskularnych nóg czarnych żołnierzy — nowość, jak tyle innych zdarzeń i krajobrazów, spiętrzonych w tych dziesięciu miesiącach, odkąd brzegi ich rodzinnej Gambii zniknęły za rufą okrętu.

Siedzę na skrzynce amunicji, która przywędrowała tu na wełnistej głowie czarnego *carrier'a* /tragarza/, jak wszystko co mamy ze sobą — i patrzę na rudą szachownicę pól ryżowych, płaską, bez kresu, przeciętą łukiem rdzawej rzeki. Drgający w słońcu horyzont zlewa się w jedną całość z sinym pasem morza. To Indie — skraj wschodniego Bengalu, który zostawiliśmy za sobą. A przed nami leży inny, jeszcze wspanialszy kraj — tak piękny i dziki, że nasz krótki oddech jeszcze krótszy się staje. Kraj blado-zielonych wzgórz, pokrytych zbitą dżunglą, głębokich, niemal czarnych wąwozów, kraj potężnych rzek i szybkich, hałaśliwych potoków o wodach zimnych i pienistych jak szampan. To Burma.

Zwolna podnoszą się głowy. Europejczycy wyciągają lornetki i mapy, murzyni zaczynają gwarzyć półgłosem, cmokają dziecinnie z podziwu, patrząc na pasma wzgórz, co piętrzą się i odcinają wyraźnie żywym odcieniem zieleni. Najdalsza, piąta linia, jest prawie błękitna. Kapral Sunkaru, który siedzi najbliżej mnie, jest milczący i zapatrzony, a gdy go pytam, co też to będzie do opowiadania, kiedy powróci do Gambii — Sunkaru kręci głową i poważnym głosem mówi:

—*No Sah, I no go say nothing. This be all past talking* /Nie, nic nie będę opowiadał. To wszystko jest ponad możność opowiedzenia/.

* * *

Przejść tych pięć łańcuchów Arakan Hill Tracts, ciągnących się z północy na południe po osi marszu zachód-wschód nie byłoby może wielką sztuką, jeśli się zważy kolosalną wytrzymałość czarnego żołnierza. Przejść te łańcuchy — ponad 2000 stóp każdy — całą dywizją, niosąc wszystko na głowach *carrier'ów* z radiostacjami dalekiego zasięgu i trzy-calowymi moździerzami włącznie — to już chyba sztuka. Ale to nie było jeszcze wszystko; za nami, na ryżowych polach Bengalu czekały długie kolumny *jeepów* najeżone pokaźnego kalibru działami, pełne śmiejących się pysków nigeryjskich kanonierów ze Złotego Wybrzeża. To dywizyjna zmotoryzowana artyleria czekała, by jej utorować drogę, miała się zjawić razem z piechotą na odsłoniętym północnym skrzydle arakańskiego frontu — w dolinie górnego Kaladanu.

Czegóż się nie robi dla artylerii? Bataliony i kompanie rozciągnęły się na 70 milach wytyczonej przez saperów trasy — każdy oddział dostał odcinek, narzędzia i wybudował w parę godzin biwak bambusowych szałasów. Czołowe oddziały, zaciągnęły od wschodu ochronną sieć patroli i Dywizja zaczęła kopać. Cięliśmy gęstą, bambusową dżunglę, kruszyliśmy oskardami niemal pionowe zbocza, aż dziewięciostopowa żółta wstążka drogi poczęła się rozwijać na wzgórzach fantastycznymi wręcz rzutami. Drużyny brukowały głazami łożyska nieprzeliczonych strumieni — bo o budowie mostów nie było nawet mowy, jak i o gładzeniu nawierzchni.

Zaczęliśmy pracę w połowie grudnia 1943 r. nie bardzo wierząc, że skończymy ją w ramach miesięcy. Ale już po pierwszych dniach termin ukończenia drogi brzmiał bardzo niedwuznacznie: cztery tygodnie! Dzień pracy wydłużył się od świtu do zmroku; Bożego Narodzenia nie zauważyliśmy nawet w kalejdoskopie męczących dni i zimnych nocy bez świateł i ogni w biwakach. Około Nowego Roku, który spotykaliśmy zawinięci w koce, szczękając zębami z zimna i braku alkoholi — nasza droga łączyła się już w jedną wyraźną całość pomiędzy rozrzuconymi biwakami. A w tydzień później najtrudniejszy odcinek — 2300 stóp spadku na niecałej mili — który opierał się jeszcze pięciorzutowej serpentynie, kończyliśmy w nieprawdopodobnym już pośpiechu.

Byliśmy bardzo dumni z naszej drogi choć nie wiedzieliśmy jeszcze czy nawet najbardziej samobójczo nastrojony szofer *jeep'u* potrafi nią przejechać. Murzyni kręcili głowami z podziwu i niedowierzania, patrząc na dzieło swych rąk. Ale nie było czasu na podziwianie naszych wyczynów. Gdy tylko złożyliśmy szpadle i oskardy trzeba było ruszać na wschód, pnąc się po pasmach wzgórz Arakańskich, gładząc nawierzchnię naszej drogi tysiącami maszerujących bezszelestnie stóp. Na jednej z najtrudniejszych przełęczy, gdzie pracowali czarni z Sierra Leone, ktoś — kto przechodził przed nami — wydrapał na skale lakoniczny napis: *"Is your journey really necessary?"*

Jeszcze jeden dzień marszu, jeszcze jeden łańcuch wzgórz i u naszych stóp zabłysł Kaladan — leniwy, błękitny jak Niemen — wijący się w szmaragdowej, usianej wioskami dolinie. Przeszliśmy go w bród i rozbijając biwak na wysokim brzegu, zakończyliśmy przybyciem naszego batalionu koncentrację brygady czołowej. Byliśmy nieprawdopodobnie zmęczeni; nawet murzynom kleiły się oczy nad wieczorową racją ryżu i *bully beefu*. Ktoś czytał na głos ostatnie raporty, mówiące o japońskich oddziałach 12 mil na południe od nas.

Na godzinę przed zmrokiem — ściśle co do dnia — siwy od kurzu, roześmiany gambijski szofer, wyłączył zasapany motor *jeepu* na brzegu rzeki. Horda "czarnych braci" biła brawo, ktoś wołał w podnieceniu: *"Hurray — first jeep to Kaladan"*. Byliśmy zbyt zmęczeni by celebrować — spaliśmy jak zabici.

* * *

—"*Right*. Jeśli nie macie pytań to dobranoc. Tylko umówmy się: dla dobra jutrzejszego "ćwiczenia" zakładamy, że Japończycy są w Muragi na pewniaka. Nastrójcie odpowiednio murzynów — to ich debiut".

Jekyll, Ham i Bill — moi dowódcy plutonów — pośpiesznie składają mapy, bo zmrok zapada szybko, a muszą jeszcze odprawić plutony i sprawdzić zaciągnięte warty. Reszta odprawy idzie już po polsku: ustalam z moim zastępcą Januszem, gdzie zatrzyma sekcję dowodzenia z sygnalistami i *carrier'ami* i przyrzekam Wiesiowi Bul, że będę wołał o ogień jego trzy-calowych moździerzy, jeśli się tylko znajdzie jakiś przyzwoity cel.

Gdy zasypiamy — opuszczona przez mieszkańców wioska, w której kwaterujemy jest tak cicha, iż trudno uwierzyć, że stoi w niej ponad 250 czarnego, hałaśliwego zazwyczaj wojska.

Pierwszym zadaniem było zajęcie Paletwy — administracyjnego centrum górnego Kaladanu — 25 mil na południe od nas. Wiodły do niej trzy drogi: wzdłuż Kaladanu, którą dostali Nigeryjczycy i dwoma bocznymi dolinami przydzielonymi Gambii. Nasz pułkownik zdecydował użyć gros batalionu po lewo-skrzydłowej osi, oddając wąską, środkową dolinę rzeczki Mili mojej detaszowanej kompanii. Wywiad mówił o japońskich umocnieniach zamykających wszystkie trzy drogi. W Muragi, na mojej osi miał być rzekomo dobrze okopany pluton.

O wschodzie słońca patrzyliśmy z szefem kompanii z wysokiej skarpy wioski, jak wąskie kolumienki sekcji ruszały w idealnych — jak na mustrze luźnej — odstępach na dwunasto-milowy marsz zbliżania. Jekyll, prowadząc czołowy pluton, powiewał do nas wesoło rozwiniętą mapą. Oliwkowe *battle-dressy* zlewały się z gęstą dżunglą, niknąc na zakręcie ścieżki w wąskiej gardzieli dolinki.

Oskar, który więcej niż dwa lata przelewał razem ze mną pot kroplisty w tej samej kompanii i każdą uncję swego *Grenadier Guards* fasonu i treningu wbijał cierpliwie a energicznie w wełniste głowy "czarnych braci" — kręci woskowanego wąsa i mruczy coś pod nosem. I uśmiechamy się do siebie tą samą, niewypowiedzianą myślą: "Nareszcie!"

Trzeba ruszać.

* * *

Około czwartej popołudniu, gdy zgodnie z niedokładną mapą wypociliśmy co najmniej jedenaście mil ciężkiej, biegnącej łożyskiem strumienia ścieżki, goniec ze szpicy zameldował, że czołowa sekcja trafiła na bambusowe zasieki około 400 yardów od Muragi, przez które Jekyll przeszedł z patrolem. Ale npla — ani śladu.

Przyśpieszamy tempo marszu. Dolina rozszerza się nieco a małe kwadraty wyciętej pod uprawę dżungli wskazują, że wioska musi być już blisko. Napięcie rośnie — nawet szeptów nie słychać wzdłuż kolumny, a bose czarne stopy suną naprzód bezszelestnie lekkim, niemal tanecznym krokiem.

I nagle gdzieś blisko za zakrętem, rozśpiewały się wysokim, czystym tonem nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Nareszcie! Sgt. Theo, z dwoma sekcjami plutonu Jekylla czekał na czas na linii zasieku, zamykającego wyostrzonymi jak stal bambusowymi pikami, dowcipnie splątanymi — nie tylko ścieżki i dno doliny, ale również prawe zbocze. Jekyll z patrolem przeciął solidną wyrwę w zasieku, obszedł ostatni zakręt dolinki i z wysokiej trawy mógł już obserwować wymarłe na pozór Muragi. Dzieliło go od niej ze sto yardów otwartego terenu, płytki, kamienisty potok i wysoka szkarpa. Na jej skraju: wśród drzew i kęp bananów, stały pierwsze *Bashe* /bambusowe domki na palach/ wioski. W tym to miejscu, gdy szperacze wynurzyli się z traw, Japończycy otworzyli ogień.

Gdy podczołgałem się do Jekylla, kule gwizdały wysoko ponad głowami. Sekcja przywarła do fałdy terenu dającej niezłą ochronę i odpowiadała rzadkimi tylko strzałami strzelca wyborowego Samby, który wypatrzył nieprzyjacielskiego *sniper'a* na drzewie. Jekyll — podniecony i uśmiechnięty — klnie, bo ani rusz nic więcej zaobserwować nie można. Japończycy muszą być dobrze okopani na szkarpie i tkwić głęboko, ale też za to ich ogień od pierwszej chwili jest niecelny: poza przestrzelonym murzyńskim kapeluszem, sekcja nie ma strat.

Tymczasem zgodnie z poprzednimi rozkazami Sgt. Theo ubezpieczył drużyną prawe skrzydło, gdzie zresztą wyjątkowo zbita dżungla i zasiek uniemożliwiały obejście, a Bill z plutonem ruszył wysoko lewym stokiem z zadaniem wyminięcia wioski i zamknięcia doliny za plecami nieprzyjaciela. Ham z rezerwowym plutonem wyciągnął Breny na pozycję na stoku i ubezpieczył moździerze.

Gdy wróciłem od Jekylla, Bul miał je już gotowe do strzału i wiercił się niecierpliwie na wysokim drzewie. Zaczęła się teraz walka z czasem i dżunglą, bo było już po piątej, a Bill z trudem tylko posuwał się naprzód w splątanej, bambusowej dżungli. Mogliśmy obserwować jego postępy po chwianiu się pasma zieleni na stoku, równie dobrze jak nieprzyjaciel z wioski — bo Jekyll znalazł wreszcie cel dla swego Brena, gdy japońska sekcja próbowała ruszyć z Muragi na przecięcie Billowi drogi. My, czekając biernie z zegarkami w ręku mieliśmy chwilę emocji, gdy dwucalowy moździerz otworzył na nas ogień pół tuzinem niecelnych pocisków.

O szóstej — Bill szamotał się jeszcze z dżunglą, zrobiwszy zaledwie połowę drogi pod lekkim obstrzałem z wioski, a zmrok zapadał szybko. Nie mogąc ryzykować nocnej akcji, z żalem zrezygnowałem z całkowitego obejścia i dałem umówiony sygnał.

Bul — sprawnie jak na strzelnicy — sprawdził cel dymnym pociskiem i otworzył ogień z moździerzy, zaterkotały Breny Hama, a przez lornetkę widziałem wyraźnie jak pluton Billa zakręcił w dół stoku do flankowego ataku. Ale Jekyll nie czekał. Z ostatnim trzy-calowym pociskiem moździerzy, w szybko rzednącym ogniu nieprzyjaciela rwał ze swą drużyną na szkarpę wioski. I gdy z rezerwowym plutonem wypadliśmy na otwarty teren przed Muragi, murzyni Jekylla byli już w pośpiesznie opuszczonych okopach i skacząc przez leje bomb naszych moździerzy ginęli mi z oczu wśród *Bash* wioski.

W parę minut potem, ze środka cudownie zamaskowanych pozycji, gdzie Jekyll odprawiał pościgowy patrol a murzyni, nieprzejęci swym debiutem, objadali się gorącym ryżem ze strzaskanej japońskiej kuchni, wystrzeliłem w ciemniejące niebo dwie zielone rakiety — sygnał sukcesu.

* * *

W trzy dni później dołączyliśmy do batalionu pod Paletwą. Nigeryjczycy byli już w miasteczku, pozostając w kontakcie z nieprzyjacielem, który wycofał się kilka mil na południe, na mocne pozycje na wzgórzach. Nasz batalion miał w przeddzień ciężką rozprawę na gorąco bronionych umocnieniach japońskich na swej osi marszu; były pierwsze straty w Europejczykach. Nigeryjczycy też już przeszli ogniowy chrzest, nim zajęli przeglądającą się w Kaladanie, malowniczo ukrytą wśród wzgórz i zieleni Paletwę. Ale my, mieliśmy satysfakcję być pierwszą kompanią w ogniu i z dumą nosiliśmy japoński moździerz, zdobyty wraz z amunicją w Muragi. Co więcej — w nocnym epilogu tej pierwszej walki, wiejące *"Japsy"* wpadły w otwarte ramiona nigeryjskiego patrolu kontaktowego — *"We see 'em — we kill 'em"* — raportował później rzeczowo nigeryjski sierżant — a Bul, idąc w dzień później spacerem do biwaku, zebrał wraz z niewierzącym swym oczom Szkotem dwóch zagonionych niemal na śmierć Japończyków. Ci pierwsi jeńcy, którzy wynurzyli się z dżungli z podniesionymi rękami, nie tylko podkopali mit "Hakiri", ale również potwierdzili liczbę poniesionych strat i zabobonny strach przed "czarnymi ludożercami".

Nasze gambijskie murzyniaki nie zdradzały żadnych emocji w obliczu tych wszystkich nowych *"White Men's palaver"*. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że mamy w ręku żołnierza, co może łatwo przerość markę swych kuzynów — francuskich Strzelców Senegalskich z poprzedniej Wielkiej Wojny. Tygodnie ciężkiej pracy przy budowie drogi, marsze i pierwsze dni operacji nie wycisnęły na czarnych, uśmiechniętych twarzach śladów zmęczenia. Ich jedyną troską były skurczone plecaki, w których pięciodniowe racje zmalały już do zera. A magazyn żywnościowy sierżanta-kwatermistrza Jock'a, to już wspomnienie dawnych dni.

To też sierżant Seku, pikietując płaskie pólko ryżowe, gorączkowo czyszczone i wygładzone przez *carrier'ów* brygady zdecydował, że trzeba pocieszyć czarnych braci i pouczyć, co też to za *palaver* wymyślili biali w trosce o puste żołądki. Seku — z 14 latami służby w wojsku i wyjątkową jak na murzyna inteligencją — jest wyrocznią dla młodych buszmenów.

—Racje kończą się dzisiaj — *no so? Right*, rezerwy nie ma, bo kto by ją niósł, nawet rezerwowej amunicji niesiemy tylko *small, small"* —

—*Yes Sah* — mruczą czarne łepetyny, nie wiedząc jeszcze, co to ma wspólnego z zapełnieniem najważniejszej części murzyńskiej anatomii — *belly* /brzucha/. —

—*Well Savvy* samolot? *Plenty, plenty* samolotów przyleci. Nie będą rzucać bomb, tylko żywność, amunicję, pocztę. Wszystko co trzeba. *See?* — peroruje Seku.

—*Yes Sah, we go look 'em — we go see 'em* — odpowiadają trochę niedowierzająco murzyniaki, ale właśnie, jak na zawołanie, sznur ciężkich, pękatych transportowców zniża lot nad wskazanym rakietami ryżowym pólkiem.

Z otwartych drzwi walą się w dół podłużne paki z pióropuszami otwierających się spadochronów. Transportowce — natychmiast ochrzczone przez murzynów *"Bullybeef bombers"* — krążą nisko, podchodząc raz po raz do zrzutu, eskortujące myśliwce wirują w spiralach a pólko ryżowe zaściela się spadochronami we wszystkich kolorach tęczy bo barwa wskazuje co dany spadochron niesie.

W pół godziny później, gdy sierżant Seku ściągał swe pikiety, brygada była zaopatrzona we wszystko co było potrzebne na parę następnych dni. Była nawet poczta w lakonicznie zaadresowanym worku i ten najbardziej oczekiwany, długi list od Ciebie.

Wiele było podziwu i cmokania tego wieczora wśród czarnej rzeszy, ale jeszcze więcej kręcili głowami już nie tylko "czarni", ale i "biali", gdy nazajutrz sanitarne awionetki, lądując i startując na tym samym maleńkim pólku wśród wzgórz, z rozmachem godnym lotniska na Okęciu, zabrały naszych rannych do luksusowych szpitali daleko za frontem.

Był to początek stałej współpracy z R.A.F.'em, bo nasze operacje *à la* Wingate oparte były na zaopatrzeniu i ewakuacji rannych wyłącznie drogą powietrzną. R.A.F. nie zawiódł nas nigdy i przez całą kampanię okazał się najlepszym, niestrudzonym przyjacielem.

* * *

Na wzgórzach nad Paletwą dwudniowa bitwa Nigeryjczyków zamiera powoli. Błękitny Kaladan u stóp naszego biwaku ciemnieje w zapadającym zmierzchu. Bill i Ham wrócili właśnie z patroli i całodniowa troska o białych i czarnych braci przemienia się w wesołą *"party"* nad siedemnastym tego dnia imbrykiem herbaty. Herbata, to specjalność naszej kompanii: specjalny *boy* od świtu do nocy ją gotuje, specjalnie większe racje z dostaw wycygania kwatermistrz — i nawet pod ogniem nasz *tea-room* zawsze funkcjonował. A gdy, pod koniec kampanii japoński pocisk rozbił nasz wysłużony imbryk /pewno w rewanżu za tę kuchnię w Muragi/ "załamaliśmy się moralnie" na dwa dni, zanim dowództwo batalionu nie przydzieliło nam kociołka z messy pułkownika.

Czarna płachta nocy tłumi śmiech i rozmowy, gasi ognie biwaku. Dziwne są te burmijskie noce w dżungli. Od zmierzchu dzikie kury i pawie pieją i nawołują się po stokach, stwarzając wrażenie, że to patrole nieprzyjaciela wymieniają umówione sygnały. Ogromne, nocne ptaszyska łopoczą w ciemniejącej dżungli, a pełzająca po urwisku pantera strąca żwir i kamienie do drzemiącej rzeki. Wielkie, szaro-złote jaszczurki, wynurzają się z dziupli na nocne łowy owadów i wykrzykują głośno, ludzkim głosem bardzo nieprzyzwoite angielskie zdanie z iście oxfordzkim akcentem. Jakiś ptak gwiżdże raz po raz króciutką melodyjkę w minorowej tonacji i urywa zawsze na tej samej nucie — proszącej się o dokończenie — lecz nigdy nie kończy. A gdy wielki burmijski księżyc — najsrebrniejszy ze wszystkich księżyców świata — wschodzi powoli nad dżunglą, ciągnące za wojskiem szakale poczynają wyć żałobnie, stada małp, co rozespane i złe — odgrażają się chóralnie nocnym włóczęgom. A psy w opuszczonych wioskach dopełniają swym przejmującym skowytem nocnej symfonii dżungli.

Piątka batalionowych Polonusów zeszła się na wymianę wrażeń i opija się mleczną herbatą nad wygasającym ogniskiem. Jaś Ślązak — dowódca batalionowych moździerzy i dumny posiadacz rekordowych wąsów — sumuje naszą rozmowę lapidarnym zdaniem:

—Dziwny kraj pierunie — i dziwna ta wojna.

—Polacy z murzynami — w Czternastej Armii Brytyjskiej — Japończyków po Brumie gonią — dorzuca Adam.

—I pewno "Rubens" nawet nie wie, że się tu bijemy — mruczy Wieś Bul.

—Nie wszystko Ci jedno? Mikado też nie wie?

Rozchodzimy się wcześnie pod koce, bo wieczory są jeszcze zimne, ale sen nie łatwo przychodzi w seledynowej poświacie księżycowej nocy. Powoli, w napół sennych marzeniach Kaladan toczy się szarymi wodami Wisły i już nie dżungla, lecz las sosnowy z wysokiego przegląda się brzegu.

Z bambusowych liści, krople nocnej rosy, padają ciężko, jak łzy.

HUBERT

Z frontu Dywizji Pancernej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Pancerniak dożywia małych Holendrów



Nie tylko "gwiazdy" rozdzielają autografy . . .

W Holandii

Szkoci nie powinni mieć powodów do zazdrości. Przyjaźń holendersko - polska zatacza wprawdzie coraz szersze kręgi i pogłębia się z dniem każdym, ale jednak Dywizja wierna jest nadal Szkocji. *Scotland for ever*! To znaczy, że w dziennikach miejscowych znawcy języka holenderskiego zdołali już znaleźć drobne ogłoszenia, zawiadamiające o . . . zaręczynach jakichś "jongfrow" Kootje lub Gerike z rycerzami o polskim brzmieniu nazwisk, ale jednak o małżeństwach na razie jeszcze nie ma mowy. Inna rzecz, że nikt nie wie, jak długo tu będziemy "stać" czyli być, a wiadomo, że czas czyni cuda.

W stolicy "polskiej" Holandii wre prawdziwe życie. Co wieczór gra "Lwowska Fala" przy tak nabitej sali, że Aprikosenkrantz obliczył już, jakby mógł napchać portfel, gdyby tak można sprzedawać bilety — niechby skromniutko — no tak po guldenie. Cóż w dzisiejszych czasach znaczyć może taki jeden gulden? Wiadomo, że nic!

"Dziennik Żołnierza" zmienił też swą skromniutką dotychczas szatę zewnętrzną i przeszedł na druk. Cóż to było za święto w redakcji. Nawet nie bardzo można było z nimi rozmawiać, tak nosa z dumy zadzierali. A najwięcej kierownik drukarni czyli maszynkarz, zecer, metrampaż, mechanik w jednej osobie. Pierwszy numer robił do szóstej rano.

Przypomniał mi jednak, że premiera "Dziennika Żołnierza" w Glasgow trwała jeszcze o godzinę dłużej i wtedy dopiero się okazało, że na ostatniej kolumnie jest duża trzyłamowa dziura, a w całej drukarni nie ma już ani jednego wiersza zapasu. Wstawiliśmy wtedy tam kliszę jakiejś siedemdziesięcioletnej pary Szkotów z parą bliźniąt. Ot tak, ni w pięć ni w dziewięć. Po prostu nic innego nie mieliśmy. Cała polska Szkocja długo nam tego nie zapomniała, kpiąc z nas bezustannie.

Więc "Dziennik" teraz mamy z prawdziwego zdarzenia i oczywiście Or-Si zaczął od pierwszego zaraz numeru swą kampanię zamęczania czytelników swymi ponurymi opowiadaniami, które nazywa — o! bezczelności ludzka — wesołymi felietonami. Mówi nawet, że robi konkurencję "Werinajskowi". No tak źle już nie jest.

Jeśli mowa o lokalnych wydawnictwach, to na tutejszym rynku księgarskim ukazał się album, który z miejsca stał się "szlagierem." Został po prostu rozchwytany, a nakładcy martwią się już o drugie wydanie. Bez funduszów specjalnych, bez drogo opłacanych specjalistów, bez komisji, poza budżetem, w rekordowo szybkim czasie wydano spory album, zawierający około stu fotografii, ilustrujących walki Dywizji polskiej na Kontynencie. Każda fotografia ma dowcipny jędrny opis angielski, a całość na ładnym papierze i w gustownej oprawie, nadaje się idealnie na prezent dla przyjaciół brytyjskich.

Świetny pomysł! Takie proste przecież, a nikt o tym nie pomyślał, albo może i nawet myślało wielu, ale nikt dotąd nie wykonał. Trzeba było dopiero tu, w warunkach polowych, inicjatywy dwóch fotografów-amatorów. To tak zresztą jak z tymi orzełkami, które Dywizja zamówiła w Londynie jeszcze w sierpniu, to tak jak z książkami, to tak jak . . . Eee, nie poruszajmy lepiej tematów "kulturalno-oświatowo-propagandowych". Za dużo już one złej krwi żołnierzom narobiły.

I choć tak tu rojno w tej polskiej Holandii, to jednak najbardziej wojsko cieszy możliwość spędzenia krótkiego urlopu w Belgii. To cała wspaniała organizacja z tymi urlopami. Można go spędzić w Brukseli, można w Antwerpii lub też w Gandawie. Przyjemność trwa 48 godzin i zaczyna się o godzinie drugiej po południu. Pomyślcie tylko, jak wielka w tym się kryje mądrość. Nie od rana do rana, ale od drugiej do drugiej, bo w ten sposób można możliwie najhuczniej spędzić dwa długie, długie wieczory i jeszcze potem, na trzeci dzień odpowiednio w czystym łóżku wypędzić z głowy . . . nazwijmy to — zły humor.

Przed paru dniami wspominał nam dowodca armii kanadyjskiej, że szykuje jeszcze inne możliwości urlopowe, ale na razie plany te muszą pozostać w ścisłej tajemnicy. Zdradzę tylko, że nie będą one przykre dla "naszego brata."

Dowódca Armii przyjął korespondentów wojennych na herbacie w swym nowym, zdobycznym wozie mieszkalnym. Ciekawa to znów historia. Wóz ten, a właściwie wspaniały, luksusowy wagon, zbudowany został w Gandawie dla niejakiegoś Corneliusa. Ten Cornelius, miejscowy "kolaboracjonista," dostał od Niemców olbrzymie zamowienia na wykonanie jakichś tam robót fortyfikacyjnych w Belgii. Zdudował więc sobie ten wagon, aby móc nim wygodnie jeździć na inspekcje i dozorowanie prowadzonych robót. Wagon składa się z sypialni, zaopatrzonej w umywalnię, tapczan, szafę, z salonu, mającego biurko, kominek elektryczny, trzy miękkie fotele, puszysty dywan oraz z przedpokoju, będącego równocześnie kuchenką i barem. Pan Cornelius liczył się prawdopodobnie z powrotem Niemców do Belgii, a w każdym razie nie brał pod uwagę możliwości ostatecznej ewakuacji. Dość, że sam uciekając, wagonu ze sobą nie wziął, lecz ukrył go w jakiejś podmiejskiej szopie, barykadując ją olbrzymim stosem starego żelastwa. Właśnie ta barykada zaintrygowała kanadyjskich saperów, którzy dobrali się do wnętrza szopy, wagon wyprowadzili i ofiarowali go gen. Crerarowi. Używa go on obecnie, jako wozu gościnnego. Spał w nim ostatnio nawet gen. Eisenhower, gdy wizytował jednostki kanadyjskie oraz naszą Dywizję.

Więc pogoda jest nadal straszna i choć nawet czasem deszcz przestaje padać, to aura jest nam na ogół nieprzychylna. Od kilku jednak dni, mimo wichury i wilgoci, która nie może bynajmniej wpływać na dobry humor, pancerni nucą piosenkę. Nową piosenkę, która podbiła Dywizję. *"Merci mademoiselle"*. *Merci, mademoiselle*, za serce twe, za kwiaty i za łzy . . . Bardzo aktualne słowa.

A w ogóle mówiło się, że ta wojna jest niemuzykalna, że nie zrodziła żadnej takiej piosenki, któraby przeszła do literatury muzycznej. Pewnie, że w porównaniu z poprzednią wojną światową dziś raczej milczymy, ale jednak piosenki tej wojny mają swą wielką wymowę. Choćby ten przebój angielski z roku 1939 — *We shall hang our washing on the Siegfried line* . . . Dumne słowa, które tak smutno się w roku następnym miały przemienić w tragiczną rzeczywistość. A jednak piosenka ta doczekała się dni swego powrotu, swego triumfu. Znów Sojusznicy walczą na linii Siegfrieda, już ją tu i tam sforsowali i tylko patrzeć, jak będą na niej wieszać swą wypraną bieliznę. Po czterech latach słowa się urzeczywistniły.

I podczas gdy armie alianckie mogą dziś znów śpiewać ten doskonały marsz, to zobaczmy, jak wygląda krzywa niemieckiej piosenki wojennej. A więc dawno już Niemcy zapomnieli o swym marszu na Anglię. *"Wir marschieren gegen England"* wyszło już z mody. Na miejsce butnego marsza przyszło sentymentalne tango — "Lili Marlene". Wzięte do niewoli w Libii tango to dziś z kolei chętnie śpiewane jest przez różne armie sojusznicze, przy czym najlepsze chyba są słowa francuskie, dowcipnie wyśmiewające żołnierza niemieckiego, który stojąc na posterunku płaczliwie boleje nad smutnym losem Hitlera. Jak mi opowiadali jeńcy, obecnie w armii niemieckiej popularne są stare walce, które może odpowiadają nastrojom tęsknoty do dawnych, dobrych czasów. Ale podobno jeszcze popularniejsze od śpiewania walca jest . . . nieśpiewanie w ogóle.

Ale nasi śpiewają. A dziś to ich chyba nawet Niemcy słyszeli, jak śpiewali na najdalej wysuniętych placówkach tango marynarskie i polki i oberki i piosenkę o powrocie. Mieli gości przemiłych, bo odwiedził ich wysoki dygnitarz wojskowy—pan podporucznik Hausman. Tak jest. A z nim jeszcze przylazł ten Makutra, no i te dwa batiary, Szczepko i Tońko. Całe to bractwo wpakowało się do mojego wozu i że to im sala teatralna niby nie wystarcza, tylko że muszą na sam czubek, koniecznie do bunkrów. No więc jazda. Przeskoczyło się na pełnym gazie przez drogę, pozostającą pod obserwacją nieprzyjaciela i w na pół rozwalonej chałupie odbyło się przedstawienie.

Cóż to było za przedstawienie! Najbardziej chyba galowe z galowych, najuroczystsze, najwspanialsze. Widownię stanowiły załogi plutonu czołgów, tkwiących na tej wysuniętej placówce. Na stole pojawiła się butelka koniaku i w programie wzięli udział wszyscy. Ale jak się bawili! Hausman został z miejsca "opanowany" — wykończony — po prostu kazali mu po kolei grać wszystko, co umie. A umie na tej harmonii sporo. Wieszczek naopowiadał im historyjek takich, o których nie mieli pojęcia, bo przecież tam "groźny" Tolek Budzyński nie stał za kulisą ze scenariuszem w ręku i nie kontrolował, więc też sobie puścił wodze i przemawiał językiem raczej żołnierskim. A jak jeszcze Szczepko z Tońkiem "odstawili" swój numer o ptaszkach co kawy żreć nie chcieli, a jak im jeszcze zaśpiewali swój szlagier— "Serce batiara"—to o odjeździe nie było już mowy.

Krakowskim albo lepiej lwowskim targiem całe towarzystwo skoczyło /dosłownie/ jeszcze do plutonu "Krwawych Koszul" i tam w bunkrze przy lampkach naftowych odbyło się bisowanie. Huczał bunkier od chóralnych śpiewów. Jeden kolega był z Rybnika, więc Szczepko z Tońkiem mu zaśpiewali trojaka, drugi chciał walca, więc mu Hausman walca zagrał. Jeszcze inny przypomniał sobie o tej góralskiej przypowieści o Panu Jezusicku, więc ją musiał zaraz Wieszczek opowiedzieć.

A potem, gdyśmy tylko wrócili do ich bazy, wysiada z samochodu strzelec Makutra i z miejsca zaczyna zzieleniałej z zazdrości reszcie zespołu "Fali" opowiadać swe przygody wojenne. ". . . Chciałem mu nawet darować życie—mówi wyniośle —ale Niemiec zaklął brzydko. Złość mnie więc porwała taka, że skoczyłem, zamierzyłem się i wbiłem mu kulę w pierś. Niestety jednak złamała się u rękojeści. . . ." Oj, batiary, batiary. Tak jak w ich piosence—

Lwów czy Waszawa, czy gdzie on tam jest
batiar jest wszędzie ten sam.
Serce ma złote i wierne jak pies,
czy będzie tutaj czy tam.
Mówcie co chcecie, nie ma na świecie
joj, jak serce batiara.
Batiar, jak trza, to życie swe da,
bo takie serce on ma.

Tak, to prawda. Ze Lwowa czy z Warszawy, z Rybnika czy z Wilna—batiar ten walczy tu od tylu miesięcy. Walczy o wolność tylu krajów, ale ginie tylko za Jedną Wolność.

MACIEJ FELDHUZEN

Dywizja Pancerna ma w tej chwili już dwa własne pisma. Jedno z nich — dzień po dniu towarzyszyło jej żołnierzom od Normandii, przekroczyło już 100 numerów "kontynentalnych", niedawno przeszło na druk. Normalnie ukazuje się jako druk dwustronicowy, z okazji Świąt wystąpiło z dwubarwnym numerem ośmiostronicowym. Tygodnik jest przedsięwzięciem świeżym, ale o wyraźnie zarysowanym charakterze.

Obu bratnim pismom przesyłamy najlepsze życzenia i serdeczne pozdrowienia.

Dziennik Żołnierza
1. Dywizji Pancernej

Rok V. Holandia, niedziela 24 grudnia 1944 Nr 144

DEFILADA

TYGODNIK ŻOŁNIERZY 1. DYWIZJI PANCERNEJ

ROK I 17 GRUDNIA 1944 Nr. 1

Ofensywa Rundstedta

O ile kontrofensywa Rommla pod Avranches w Normandii była bezpośrednią odpowiedzią na pomyślny rozwój operacji desantowych Sprzymierzonych, o tyle obecna ofensywa Rundstedta ma już charakter zupełnie samodzielnej operacji w wielkim stylu. Nie ma ona na celu, jak kontrofensywa pod Avranches, powstrzymania przeciwnika. Zadaniem jej jest uprzedzenie i ewentualne opóźnienie przygotowywanych przez niego działań zaczepnych.

Pod tym względem, jeżeli idzie o pierwszą wojnę światową, wiele podobieństw nasuwać może wielka ofensywa wiosenna Ludendorffa w roku 1918. W wojnie obecnej należy ich szukać na froncie wschodnim, w ofensywach Timoszenki i Klugego. Wszystkie te działania mają wspólną cechę, że były przez czas dłuższy starannie przygotowywane oraz zostały wykonane wielkim zmasowaniem sił na stosunkowo wąskim odcinku frontu.

Jeżeli idzie o ofensywę Ludendorffa, a raczej jego cztery kolejne ofensywy prowadzone w czasie od 21 marca do 15 lipca 1918, to decyzja co do nich została powzięta aż 11 listopada 1917 na konferencji trzech szefów sztabu w Mons. Brali w niej udział Ludendorff, v. Kuhl i v. Schulenburg. Transporty kolejowe zaczęły przybywać na front zachodni już w połowie grudnia 1917. Dla tych ofensyw Niemcy przewieźli z samego frontu rosyjskiego, który po rewolucji bolszewickiej utracił wszelkie znaczenie — około milion ludzi i około 3000 dział.

W samej ofensywie 21 marca na froncie zaledwie 45 klm, na odcinku Cambrai — La Fere, w ogólnym kierunku na Amiens wzięło udział 37 dywizji wspartych przez 6000 dział; ponadto Ludendorff miał w rezerwie jeszcze 30 dywizji. W każdej z następnych ofensyw brało udział co najmniej po 30 dywizji.

Celem tych ofensyw było uprzedzić utworzenie się po stronie Ententy wielkiej masy uderzeniowej, która miała przedsięwziąć wielkie operacje, zmierzające do przełamania frontu niemieckiego; na masę tę w znacznym stopniu składały się przybywające transporty wojsk amerykańskich. Równocześnie dowódca niemiecki zamierzał rozerwać łączność między armiami brytyjską i francuską i ewentualnie dojść do Kanału La Manche.

Ludendorff osiągnął poważne sukcesy zwłaszcza w czasie pierwszej ofensywy. Stało się to kosztem wielkich ofiar po obu stronach. Straty brytyjskie po pierwszych pięciu tygodniach walk wyniosły około 240.000 ludzi, straty francuskie — około 90.000, a straty niemieckie za ten czas — 348.000. Jak wiadomo kontrofensywa francuska poprowadzona przez generała Mangin, pod ogólnym kierownictwem, świeżo mianowanego marszałkiem, Focha na Villiers-Coteret siłami 22 dywizji rozstrzygnęła o wyniku wojny.

W wojnie obecnej ofensywa Timoszenki 13 maja 1942 w rejonie Charkowa na odcinku 100 klm zaskoczyła i pokrzyżowała plany niemieckie, zmierzające do rozpoczęcia wielkiej ofensywy na froncie południowym, uzgodnionej w czasie z ofensywą Mannsteina-Lewińskiego na Krymie. Ofensywa Timoszenki opóźniła o cały miesiąc rozpoczęcie wielkiej ofensywy v. Bocka, która dotarła aż do Stalingradu i ofensywy Lista na Kaukazie.

Ofensywa Timoszenki rok przedtem w ogólnym kierunku na Smoleńsk, podczas której odniósł on nad wojskami tego samego v. Bocka dwa zwycięstwa, pod Jelnią i Jarcewem, ma raczej charakter zbliżony do kontrofensywy niemieckiej pod Avranches. Timoszenko opóźnił nieco ofensywę niemiecką na Moskwę a przede wszystkim przyczynił się do odciążenia krytycznej sytuacji Budiennego na froncie południowym.

Wreszcie podobną ofensywą, mającą również na celu uprzedzenie przygotowywanej ofensywy przeciwnika, była wielka ofensywa niemiecka marszałka Kluge 5 lipca 1943 na Kursk. Ofensywę tę rozpoczęto użyciem potężnej koncentracji 10 dywizji pancernych, jednakże w przeciągu 18 dni działań zaczepnych Kluge zdołał osiągnąć jedynie miejscowe sukcesy pod Biełgorodem, wbijając w pozycje sowieckie klin około 20 klm. Ofensywa Klugego nie zdołała pokrzyżować, ani znacznie opóźnić planów sowieckich, gdyż już w końcu lipca wystartowało wielkie uderzenie sowieckie, które dotarło aż do Dniepru.

W świetle tych podobieństw operacyjnych obecna ofensywa Rundstedta staje się łatwiejsza do odcyfrowania. Niewątpliwie ma on na celu uprzedzenie przygotowywanych ofensyw: sowieckiej w Polsce oraz ofensywy Eisenhowera na froncie zachodnim. Czekanie z założonymi rękami na równoczesne rozpoczęcie się uzgodnionych w czasie ofensyw Sprzymierzonych na dwu frontach byłoby samobójstwem.

Dwa tygodnie walk umożliwiają już rozbiór i ocenę idei manewru Rundstedta oraz jego dotychczasowych osiągnięć.

Dla swojej ofensywy wybrał on ten sam górzysty i pozornie trudny do działania odcinek, co i w roku 1940, mianowicie Ardenny. Należy dodać, że na ten sam odcinek padł również wybór Schlieffena w roku 1914 dla jego wielkiego manewru na Paryż; jedynie zwycięstwo nad Marną uratowało wtedy Francję i jej aliantów od katastrofy.

Tym razem, Rundstedt prawdopodobnie nie miał tak daleko idących zamiarów jak Schlieffen. Prawdopodobnie nie planował on również piorunującego uderzenia, jak w roku 1940, gdy armia Reichenau'a, będąca pod rozkazami Rundstedta, po kilkunastu dniach osiągnęła Dunkierkę. Tym razem, jak można sądzić z pierwszego uderzenia niemieckiego, Rundstedt postawił sobie cel o wiele skromniejszy — zdobycie Antwerpii.

Dla przeprowadzenia tego planu użył on maksimum tego, co dało się wyskrobać z odwodów strategicznych Rzeszy: dwie armie pancerne oraz kilkanaście dywizji piechoty. I tym razem — podobnie jak i w roku 1940 — równocześnie z rozpoczęciem ofensywy, na tyły Sprzymierzonych zrzucono oddziały spadochroniarzy. Obecnie nie odegrali oni prawie żadnej roli, podczas gdy w roku 1940 przyczynili się w sposób decydujący do uchwycenia mostów na Mozie, kanału Alberta oraz zdobycia potężnego fortu Eben-Emael w rejonie Liège.

A więc tym razem nawet pozorne zdobycie Antwerpii — byłoby jednak dla Niemców ogromnym sukcesem strategicznym. Przyczyniłoby się ono przede wszystkim do wycofania sił brytyjskich z Holandii i tym samym znacznego skrócenia frontu. Spowodowałoby kolosalne straty Aliantów w sprzęcie a szczególnie zapasach wszelkiego rodzaju, przygotowywanych od dłuższego czasu dla ofensywy zimowej. Wreszcie sukces ten miałby daleko idący wpływ na nastroje w Niemczech, wzmacniając ducha oporu, a jednocześnie pogłębiając w łonie Wielkiej Koalicji kryzys polityczny.

W ten sposób ofensywa Rundstedta — mimo ograniczonego celu — wykonałaby swoje zadanie zasadnicze pokrzyżowania planów i przygotowań Sprzymierzonych i opóźnienia ich ofensywy.

Z przebiegu dotychczasowych walk można wnioskować, że naczelne dowództwo Sprzymierzonych w podobny sposób oceniło myśl manewru Rundstedta, gdyż najzaciętszy opór stawiano właśnie na kierunku jego głównego wysiłku — na kierunku Liège. Już po pierwszych dniach walk i wstępnym sukcesie uzyskanym głównie dzięki zaskoczeniu, napór prawego skrzydła niemieckiego został powstrzymany i główny ciężar walk ześrodkował się w rejonie Stavelot.

To niepowodzenie Rundstedta na głównym kierunku działania rozstrzygnęło o wyniku całej ofensywy. Późniejszy wysiłek w kierunku południowo-zachodnim, kiedy otoczono Bastogne i zagrożono stolicę Luxemburga oraz napór wprost na zachód, w kierunku na Namur-Dinant należałoby raczej uważać za poszukiwanie słabszych odcinków na froncie przeciwnika.

Tymczasem pogoda, która w ciągu pierwszych dni sprzyjała Niemcom wyjaśniła się i Eisenhower mógł rzucić całą swoją przygniatającą potęgę lotniczą do akcji. Po dwóch tygodniach walk stało się widoczne, że ofensywa niemiecka zaczyna powoli tracić na rozmachu, a inicjatywa przechodzi stopniowo w ręce Sprzymierzonych.

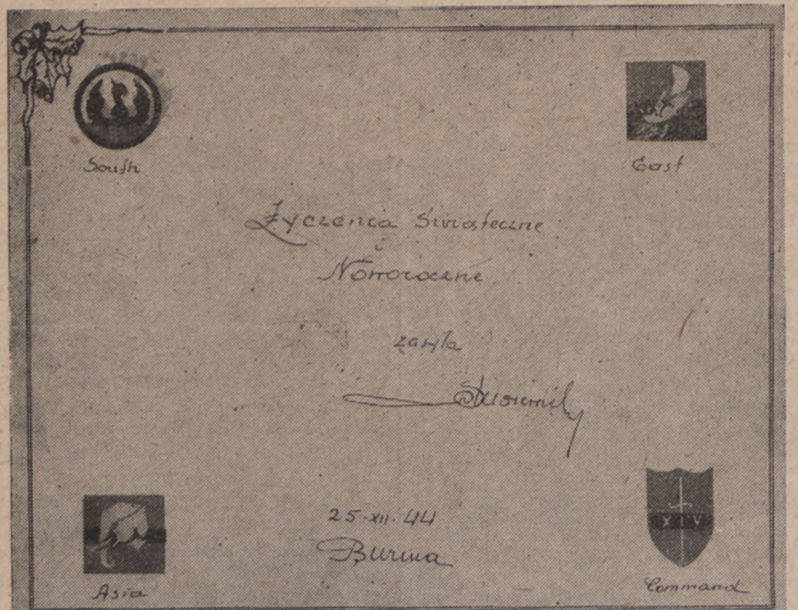
Trudno przewidzieć, jak się rozwinie druga faza tej bitwy: czy Rundstedt zechce utrzymać zdobyty i nadający się do obrony teren, czy też w obronie coraz bardziej zagrożonych skrzydeł rozpocznie odwrót, opóźniając go walkami straży tylnych.

W każdym razie fakt, że armie niemieckie opuściły potężnie umocnione pozycje i zostały poważnie wyszczerbione w dotychczasowych walkach, daje Sprzymierzonym możność stoczenia rozstrzygającej bitwy na zachód od Renu. Pomyślny dla Sprzymierzonych wynik tej bitwy może przekreślić przejściowe sukcesy odniesione w dotychczasowych walkach przez Rundstedta, a jego ewentualna porażka może przyśpieszyć w sposób nieobliczalny koniec wojny.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Z wielu otrzymanych życzeń ogłaszamy dwa: z Burmy i z Włoch:





Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE POMOCY DZIECIOM POLSKIM W INDIACH

Szanowna Redakcjo!

W związku z przypiskiem o dzieciach polskich w Indiach, zamykającym reportaż p. Pomiana /nr. 51-52 "Polski Walczącej"/, proszę uprzejmie o podanie mi adresu pocztowego obozu tych dzieci. Chciałbym napisać do kierownictwa obozu o podanie mi adresu jednego dziecka, którym mógłbym się zaopiekować i pomagać mu.

Z poważaniem

Karol Ślósarczyk

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałam w numerze świątecznym "Polski Walczącej" /51-52 z ub.r./ artykuł Bolesława Pomiana o "Pustyni Baluchistanu", zwłaszcza zaś jego zakończenie, będące apelem do żołnierzy wszystkich broni o pomoc na rzecz polskich dzieci w Indiach.

Ponieważ jestem członkiem "Funduszu Ratowania Dzieci Polskich" */Polish Children Rescue Fund/*, który — prócz pomocy materialnej, przesyłanej sierotom w Polsce — pragnie pomóc, w miarę swych skromnych możliwości, również samotnym dzieciom polskim na uchodźstwie — chcę się podzielić garścią wiadomości o polskich dzieciach w Indiach i ich potrzebach, jak również podać parę projektów konkretnej pomocy.

Dzieci polskich w Indiach jest ponad 2.000, z tego 1.550 w dużym polskim osiedlu Kolhapur, mieszczącym około 4.000 uchodźców, prowadzących indywidualnie gospodarstwa — zbliżone do warunków życia rodzinnego w Kraju. 270 dzieci, przybyłych bezpośrednio z Rosji na zaproszenie Maharadży Nauwanagaru, przebywa w osiedlu dziecięcym Jamnagar. Około 100 dzieci kształci się w brytyjskich szkołach klasztornych i zawodowych. Kilkadziesiąt słabszych fizycznie dzieci zostało ulokowanych w górzystej miejscowości Panchgani, gdzie poddane są systematycznemu leczeniu. Poza tym w obozie tranzytowym w Karachi przebywa zawsze dość spora grupa dzieci, wchodzących w skład transportów ewakuacyjnych, kierowanych z Persji do Afryki Wschodniej przez port przejściowy Karachi.

Wszystkie dzieci w Indiach znajdują się pod opieką Delegatury Min. Pracy i Opieki Społecznej, która zapewnia im mieszkanie, całkowite utrzymanie i opiekę lekarską; Delegatura Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego organizuje i prowadzi polskie szkoły powszechne we wszystkich osiedlach i obozach, gimnazjum i liceum oraz szkołę gospodarstwa wiejskiego w Kolhapur, jak również liczne kursy przysposobienia zawodowego.

Większa część dzieci mieszka z rodzinami w Kolhapur; wszystkie sieroty i półsieroty lub dzieci bez rodziców, zostały umieszczone w zakładach opiekuńczych: w Jamnagar i w Kolhapur. Skład osobowy tych dzieci odmalowuje całą tragedię wojenną, jaką przeżyły i widok której wstrząsnął tak głęboko autorem "Pustyni Baluchistanu".

W zakładzie wychowawczym w Kolhapur na ogólną ilość 324 dzieci jest 120 zupełnych sierot i 118 półsierot. Pozostałe 86 dzieci posiada oboje rodziców, niestety są z nimi rozłączone i nie wiadomo, czy i kiedy ich zobaczą. W tym 47 dzieci ma oboje rodziców w Rosji, 12 dzieci ma ojców w niewoli niemieckiej, a matki w Rosji, 14 dzieci ma ojców w wojsku, a matki w Rosji, wreszcie 13 pozostałych posiada rodziców czy to w Polsce, czy też gdzieś na uchodźstwie.

Otrzymujemy w "Funduszu" liczne listy od tych dzieci. Piszą w nich one, że mają pod dostatkiem jedzenia i owoców, że mieszkają we wspólnych, ale czystych i wygodnych salach, że mają dobre opiekunki, do których się przywiązały, że kochają swą szkołę, w której się dobrze uczą i robią zdumiewające nieraz postępy, że głodne po wyjściu z Rosji nigdy nie były. Że właściwie niczego im nie brak, tylko im smutno, iż koledzy ich wracają ze szkoły do matki i rodzeństwa, one zaś tylko do . . . zakładu. Że na całym, wielkim świecie nie mają nikogo bliskiego, swojego, że tęsknią za własnym domem rodzinnym, za własnym życiem, spędzanym niezawsze tylko w gromadzie.

Brytyjskie członkinie "Funduszu" pragnąc choć w części tęsknotę tę zaspokoić, pisują do dzieci długie i serdeczne listy, chcą okazać, że gdzieś, na odległej o wiele mil wyspie, jest ktoś, co wprawdzie inną mową myśli i pisze, lecz o nim jednym pamięta i chce mu czas uprzyjemnić. I samotne sieroce dziecko polskie w Indiach chciwie chwyta tę okruszynę ludzkiego serca, sili się z trudem na angielski list z odpowiedzią i z utęsknieniem wyczekuje następnego. O ileż łatwiej byłoby mu wyrazić swe uczucia we własnej mowie, o ile przyjemniej móc bez trudu samemu przeczytać swój własny list.

P. Pomian odczuwając gorąco tęsknotę sierot polskich w Indiach do własnych, bliskich im osób, nie umie poradzić jak ją zaspokoić. Wydaje mi się, że serdeczność Angielek i Szkotek, znalazła radę prostą i łatwą.

Jeśli mi wolno podjąć apel p. Pomiana do polskich żołnierzy w messach, namiotach i marynarskich "kubrykach" — to wzywam ich wszystkich: pisujcie listy do samotnych dzieci w Indiach, prześlijcie im czasem skromny podarunek imieninowy i gwiazdkowy. Pieniędzy im nie trzeba — liczne przesyłki pieniężne wpływają nawet na ograniczenie pieniędzy, asygnowanych na opiekę przez kogoś bliskiego, własnego. Adoptujcie na razie "symbolicznie" jedną z sierot w Kolhapur lub Jamnagar — jeśli nie macie własnego dziecka, pomyślcie o przyszłości sieroty i dalszym jej wykształceniu. O imię, nazwisko, wiek i dane rodzinne oraz dokładny adres dziecka zwróćcie się do Delegatury M.P. i O.S. w Bombaju */Polish Delegate, 7. Pedder Road, Bombay, India/* — najlepiej *airgraphem* — a otrzymacie potrzebne wam dane.

Pomyślcie, że może gdzieś na świecie, ktoś inny okazać również trochę serca waszym dzieciom lub młodszemu rodzeństwu.

Hanna Cybulska

Fundusz Ratowania Polskich Dzieci, 1, Hill St., Berkeley Square, London, W.1.

RADA POLONII AMERYKAŃSKIEJ W EUROPIE

Od lat przeszło czterech, prowadzi swą rozległą działalność humanitarną na terenie Europy Rada Polonii Amerykańskiej, reprezentowana przez swą Delegaturę w Lizbonie, której kierownikiem jest obywatel amerykański p. Florian Piskorski.

Z uwagi na niejednokrotnie zachodzące pomyłki w adresowaniu korespondencji do tejże placówki, podaje się wszystkim zainteresowanym dokładne jej brzmienie: AMERICAN POLISH RELIEF COUNCIL of the U.S.A., Florian Piskorski, European Delegate, Avenida Pedro Alvares Cabral, 54, 3° Esq., Lisbon, PORTUGAL.

Sprawy polskie w książkach angielskich

POLSKA W PRZYSZŁEJ FEDERACJI ŚWIATOWEJ

Ely Culbertson, bożyszcze bridżystów, jest synem amerykańskiego inżyniera, który położył wielkie zasługi dla rozwoju kaukaskiego przemysłu naftowego, i córki generała rosyjskiego. Jako młody chłopiec brał udział w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, przez pewien czas siedział w więzieniu. W okresie pierwszej wojny światowej poświęcił się badaniom społecznym i politycznym, w szczególności zajmowało go zagadnienie siły w stosunkach ludzkich i międzynarodowych. Majątek Culbertsona po przewrocie sowieckim uległ konfiskacie. Po wyjeździe do Ameryki zaczął zarabiać na utrzymanie grą w bridża, którą oparł na systemie naukowym. Z czasem stał się twórcą systemu bridżowego /t.zw. *"contract bridge"*/.

Świat kart od dawna fascynował Culbertsona. Uważa, że w tym świecie panują żelazne prawa polityki siły, nagrody i kary wymierzane są natychmiast i nieodwołalnie. Talia kart odpowiada hierarchii świata ludzkiego — każda karta jest panem tej, która znajduje się na niższym stopniu, i sługą tej, która znajduje się na stopniu wyższym. W świecie kart mamy także odpowiedniki "mas" — długie kolory, które w końcu odnoszą zwycięstwo nad asami i królami.

Culbertsonowi zawsze bliższy był Kropotkin, który przeciwstawiał się wszechwładzy państwa, i kwakrzy, opierający przyszły ustrój na dobrowolnej współpracy zrzeszonych, niż Marx z jego wszechpożerającym molochem państwowym. Podobne stanowisko zajmuje Culbertson w dziedzinie stosunków międzynarodowych: przyszłość świata widzi w federacji — chciałoby się powiedzieć: "równych z równymi, wolnych z wolnymi", a nie w *"leadership'ie"* /przewództwie/ wielkich państw, w podziałach na "sfery wpływów,, we wskrzeszaniu nowego "świętego przymierza".

W książce swojej *"Total Peace"** "Pokój totalny", która stanowi rozwinięcie zasad wyłożonych uprzednio w *"Summary of the World Federation Plan"* /"Zarys planu federacji światowej"/, Culbertson atakuje bezlitośnie Waltera Lippmanna za propagowane przez niego projekty oparcia przyszłej organizacji świata na sojuszu Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji. "Nie ma bardziej niebezpiecznego złudzenia — pisze Culbertson — niż naiwne przypuszczenie, że trzy mocarstwa światowe . . . każde w posiadaniu potężnych sił zbrojnych, każde przejęte obawą i zazdrosne, każde pod nieustannym wewnętrznym naciskiem przesuwających się uwarstwień — mogą długo pozostawać w błogiej zgodzie". Jest rzeczą ludzką, że w tej powojennej "trojce" każdy — Roosevelt, Churchill i Stalin — będzie się czuł uprawniony do odgrywania roli konia dyszlowego */trotter/*, nikt nie będzie chciał być koniem przyprzężnym */side-kick/*. "Jest rzeczą matematycznie pewną, że dwaj z trzech będą zawiedzeni. Jest także rzeczą matematycznie pewną, że przeważają szanse, iż ta powojenna trójka nie przetrwa jednego etapu".

W gruncie rzeczy Lippmann opiera się na "tej samej zgubnej ideologii państw zwierzchniczych */protector states/*, jak sojusz mocarstw "osi". Jaka jest różnica między lippmannowskim podziałem narodów a hitlerowską teorią rasy panów?" Jeśli opieramy się na zasadzie, że grupa silnych państw może narzucić swoje panowanie światu, nie tworząc "wyższego prawa, któremu powinny podlegać w jednakowym stopniu wszystkie narody" — podobieństwo pomiędzy projektem Lippmanna a sojuszem państw "osi" narzuca się nieodwołalnie. "Jeśli przyjmiemy taką przesłanke — wnioskuje z twardą logiką Culbertson — Stany Zjednoczone walczą po niewłaściwej stronie".

Cóż stanie się z Polską, z państwami naddunajskimi, z Bałkanami, w wypadku urzeczywistnienia pomysłów Lippmanna? — pyta Culbertson. Lippmann zaleca ich neutralizację. "Mówiąc po prostu, mają one wejść w "sferę wpływów" Rosji. Lippmann przyznaje, że nie jest to łatwe wyjście, ale "odwrotnie niż Szwajcaria lub państwa skandynawskie, nie są one ani ideologicznie ani praktycznie wdrożone do prawdziwej neutralności". Innymi słowy, narody wschodnioeuropejskie nie są ani duże ani godne szacunku. Pan Lippmann dodaje, że jest to "jedyna forma bezpieczeństwa, jaką możemy im zaofiarować". Główną rzeczą jest zachowanie za wszelką cenę podstawowego */nucleus/* sojuszu "Wielkiej Trójki" — zaznacza zjadliwie Culbertson.

Autor "Totalnego pokoju" występuje, rzecz prosta, przeciw podziałowi Europy na dwie sfery wpływów: brytyjską i rosyjską, przeciwko przeobrażeniu Europy "w gigantyczną Persję czy Polskę, z Wielką Brytanią sprawującą władzę */controlling/* nad jej zachodnią, i Rosją — nad jej wschodnią częścią". Zadaniem Stanów Zjednoczonych jest niedopuszczenie do wyjścia Wielkiej Brytanii czy Rosji poza ich granice, przeciwnie, Stany powinny dążyć wszelkimi siłami do przywrócenia uwolnionym państwom europejskim ich pełnej suwerenności.

W przeciwieństwie do Lippmanna, Culbertson pragnie stworzyć taką organizację światową, w której byłaby zachowana równość wszystkich państw, zabezpieczone interesy państw większych, zagwarantowane prawa państw małych. Do państw przodowniczych /*"leading or initiating states"*/ zalicza: Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Niemcy, Polskę, Turcję, Rosję, Chiny i Japonię. Każda z nich musi stanąć na czele federacji regionalnej, więc Stany Zjednoczone na czele federacji panamerykańskiej /Stany Zjednoczone i wszystkie państwa Ameryki Południowej/, Wielka Brytania — brytyjskiej /Zjednoczone Królestwo, Kanada, Australia, Nowa Zelandia i Afryka Południowa/, Francja— łacińskiej /Francja, Włochy, Hiszpania, Belgia i Portugalia/, Niemcy — niemieckiej /Niemcy i Austria/, Polska — środkowoeuropejskiej /Polska, Litwa /po plebiscycie/, Czechosłowacja, Rumunia, Węgry Jugosławia, Bułgaria, Albania i Grecja/, Turcja — bliskowschodniej /Turcja, Persja, Irak, Syria, Palestyna, Arabia, Afganistan i Egipt/, Rosja — rosyjskiej /Związek sowiecki, Estonia i Łotwa /jako państwa autonomiczne/, Besarabia i części "polskiej Ukrainy" /po plebiscycie/, Chiny — chińskiej i Japonia — japońskiej. Federacje malajska i indyjska będą miały na razie zastrzeżony samorząd. Pozostałe państwa nie wejdą do żadnego bloku.

Federacja rozporządzać będzie dwoma rodzajami sił zbrojnych: armiami narodowymi, które będą przysługiwały tylko państwom przodującym, oraz korpusem międzynarodowym, w którym będą reprezentowane tylko państwa mniejsze. Podział procentowy sił zbrojnych będzie wyglądał jak następuje: Stany Zjednoczone 20%, Wielka Brytania i Rosja po 15%, Chiny i Francja po 6%, Niemcy, Polska, Turcja i Indie po 3%, Malaje i Japonia po 2%, korpus międzynarodowy 22%. Siły zbrojne Polski liczyłyby zatem 60.000 żołnierzy, 15.000 samolotów, 3.000 czołgów, 3 pancerniki.

Tymczasowy rząd federacji światowej powinien uznać za rządy prawowite wszystkie rządy, przebywające na wygnaniu, i wszystkie niefaszystowskie rządy, jakie powstały lub powstaną w pokonanych państwach osi.

Culbertson jest zdania, że w interesie Rosji nie będzie leżało komunizowanie Europy, musiałoby to bowiem wywołać nową wojnę z potężną koalicją pod wodzą Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Co do żądań terytorialnych Rosji, Culbertson stoi na stanowisku, iż wprawdzie Estończycy i Łotysze są dzielnymi narodami, które dowiodły, że zasługują na niepodległość, ale względy strategiczne powodują, że nie ma siły ludzkiej, która mogłaby oderwać je od Rosji.

Inaczej wygląda rzecz z Litwą. Litwa nie jest potrzebna Rosji do obrony Leningradu, gospodarczo należy bardziej do Europy środkowej, niż do Rosji, a historycznie mocno jest związana z Polską. Suwerenna Litwa, połączona unią celną z Polską, mogłaby rozwiązać zagadnienie dostępu do morza dla Polski, Czechosłowacji i innych państw środkowoeuropejskich. Natomiast względy etnograficzne i strategiczne przemawiają za oddaniem Rosji części Polski z przeważającą ludnością białoruską i ukraińską. Culbertson w ostrych słowach potępia politykę Polski wobec Ukraińców. Nadto jest rzeczą jasną — dodaje Culbertson — że Ukraińcy polscy będą dążyli do połączenia z Ukraińcami sowieckimi.

Z dziejów Polski czerpie Culbertson niejednokrotnie przykłady dla poparcia swoich wywodów. Wspomina unię polsko-litewską z r. 1385, zestawia system głosowania w Lidze Narodów z "liberum veto", przewiduje możliwość podziału Stanów Zjednoczonych pomiędzy zjednoczoną Europę, całkowicie uprzemysłowioną Rosję i częściowo uprzemysłowiony świat mongolski — na podobieństwo podziału Polski pomiędzy Rosję, Prusy i Austrię.

* *Total Peace. What makes wars and how to organize peace. By Ely Culbertson. Londyn, Faber and Faber*, 1944; *str.* 274 *i 2nl.*

O SOJUSZU BRYTYJSKO-POLSKIM

Docent historii nowoczesnej w Oxfordzie, R. B. McCallum, ogłosił książkę o stosunkach angielsko-francuskich w okresie obecnej wojny*. Autor porusza ubocznie i inne zagadnienia, m.in. sojusz angielsko-polski z r. 1939.

"Słynne oświadczenie" Chamberlaina z dn. 31 marca 1939 r., że jeśli Polska padnie ofiarą niesprowokowanej agresji, Wielka Brytania udzieli jej wszelkiej pomocy /*"would lend Poland all the support in their power"*/, uważa za objaw "całkowitej rewolucji" w postawie angielskiej w stosunku do Europy środkowej. Traktat lokarneński nie zawierał gwarancji brytyjskiej dla zachodnich granic Polski; przeważna część opinii w Wielkiej Brytanii przeciwstawiała się tego rodzaju zobowiązaniom; rządy dominialne zajmowały jeszcze bardziej izolacjonistyczne stanowisko; zachodnie granice Polski należały do tych postanowień Wersalu, które najczęściej atakowała publicystyka angielska; półfaszystowski rząd pułkowników Piłsudskiego nie cieszył się sympatią w Wielkiej Brytanii.

"Ale obecnie zagadnienie polegało nie na tym, czy ta lub inna linia graniczna jest sprawiedliwa, lecz czy jakakolwiek granica niezależnego państwa jest bezpieczna". Być może — ciągnie dalej autor, — Wielka Brytania postępowała w sposób niemądry, krótkowzroczny, nieprzytomny, nie stanąwszy mocniej na gruncie nienaruszalności granic wersalskich, być może, rację miał Prezydent Wilson, kiedy domagał się, by członkowie Ligi Narodów wzajemnie poręczyli sobie granice, ale ta wzajemna poręka wydała się "zarówno ostrożnemu realizmowi konserwatystów jak łatwemu idealizmowi radykałów sztywna, ultralegalistyczna i niepraktyczna". Że przy takich nastrojach, najazd na Polskę stał się dla Wielkiej Brytanii *"casus belli"* /powodem do wojny/, że poszło o sprawę tak niepopularną w kołach angielskich, jak Gdańsk i Pomorze, świadczy najlepiej, do jakiego stopnia rząd hitlerowski przebrał miarę.

Zwłokę w wypowiedzeniu wojny przez Wielką Brytanię przypisuje McCallum nadziejom na pośrednictwo Mussoliniego, które odniosło skutek w r. 1938 — żywiono "upartą nadzieję, że w ostatniej chwili nastąpi cud". Względy techniczne i gierka Ribbentropa, który przyjął oddzielnie ambasadarów brytyjskiego i francuskiego, spowodowały z kolei opóźnienie wypowiedzenia wojny przez Francję; ale istnieją także podstawy do przypuszczenia, że Bonnet ociągał się do ostatniej chwili. Jak Makbet, był *"inform of purpose* /kaleki na duchu/", i trzeba mu było przemocą wcisnąć do ręki sztylet.

* *England and France* 1939 — 1943. *By R. B. McCallum, Fellow of Pembroke College, Oxford. Londyn, Hamish Hamilton*, 1944; *str.* 186.

DWA EPIZODY KOŚCIUSZKOWSKIE

Pradziadek autorki dziennika z czasów wiktoriańskich*, Joseph Hardcastle, zetknął się w r. 1814, w czasie swego pobytu we Francji, z przedstawicielem Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego na Paryż, Mr. Stone. Ten opowiedział mu następującą historię o Kościuszce, który, jak wiadomo, w czasie marszu sprzymierzonych na stolicę Francji przebywał pod Paryżem.

Kiedy pewien oddział, zgodnie z panującymi wówczas zwyczajami, zabrał się do rabunku pobliskiej wsi, Kościuszko, widocznie rozpoznawszy język, jakim mówiono, wezwał grabieżców do "wstrzymania się od postępku niegodnego żołnierzy i Polaków". Żołnierze, zdziwieni, że człowiek o wyglądzie francuskiego farmera przemawia po polsku, i to w duchu tradycji wojskowej ich kraju, spytali go o nazwisko. Kościuszko odmówił odpowiedzi grożąc, że w razie niezaprzestania rabunku, zwróci się ze skargą do dowództwa naczelnego. "Jego ton, zachowanie się i śmiałość wzbudziły nie tylko zdziwienie żołnierzy, wzbudziły także szacunek, i zapytanie o nazwisko, początkowo zadane w sposób obrażający, teraz powtórzono z powagą i czcią". Tym razem usłyszeli odpowiedź: — "Jestem waszym rodakiem; walczyłem i krwawiłem z wami; dowodziłem takimi a takimi pułkami — jestem Kościuszko!". Na dźwięk tego imienia, słowa tak ukochanego, widząc przed sobą bohatera, co więcej, bożyszcze kraju — żołnierze padli na ziemię i unurzali głowy w błocie i śniegu na dowód, że niegodni są widoku tak znakomitego */illustrious/* wodza".

Na prośbę swego przyjaciela nauczyciela, de la Harpe'a, Aleksander I nakazał zaciągnięcie warty honorowej przed domem Kościuszki; była to oznaka "czci dla nieprzekupnego patrioty".

Mr. Stone opowiadał również, że na początku kampanii rosyjskiej ukazało się wezwanie do Polaków, podpisane nazwiskiem Kościuszki. Było ono sfałszowane; Kościuszko zawsze odnosił się krytycznie do poczynań Napoleona i "niezmiennie odrzucał najbardziej kuszące propozycje wstąpienia do niego na służbę". W danym wypadku był bezsilny, gdyż rzecz prosta, żadne z pism nie ośmieliłoby się ogłosić zaprzeczenia.

* * *

Opisana przez Mr. Stone'a rozmowa Kościuszki z żołnierzami znana jest od dawna i stała się nawet tematem licznych utworów literackich, że wymienimy tylko operę Dutkiewicza "Kościuszko nad Sekwaną", operettę Holteia *"Kosciusko, der alte Feldherr"*, wiersz Lagarde'a *"Les obsèques de Kosciuszko"* /przełożony na niemiecki przez Franza Kellera p.t. *"Kosciuszko's Todtenfeyer"*/, ustęp poematu Lenartowicza "Kościuszko w Szwajcarii" i t.d.

W niektórych wersjach bohaterami zdarzenia nie są żołnierze polscy, ale rosyjscy, po prostu oddział dońskich kozaków.

Nazwisko Kościuszki podpisał Fouché nie pod proklamacją wydaną na początku kampanii r. 1812, ale na początku kampanii r. 1806/7. Prowadził wtedy rokowania z Kościuszką w imieniu Napoleona, ale Kościuszko zażądał gwarancyj i postawił warunki, pod jakimi gotów jest stanąć u boku cesarza. Chciał odbudowy Polski w granicach przedrozbiorowych, uwolnienia i uwłaszczenia chłopów, ustroju na wzór angielski. Napoleon miał na to odpowiedzieć: — "A jakież by mi podał warunki, gdyby był mocarzem?"

Fałszerstwo przyszło Fouché'mu tym łatwiej, że już Wybicki i Dąbrowski lekkomyślnie nadużyli nazwiska Kościuszki w słynnej odezwie berlińskiej z dn. 3 listopada 1806 r., zaaprobowanej przez Napoleona: "Wkrótce Kościuszko, wezwany przez wielkiego Napoleona, przemówi do Was z jego woli" /po polsku tekst złagodzono, po francusku brzmiał: ". . . *vous parlera par ses ordres"*/. Rzekoma odezwa Kościuszki pojawiła się w paryskim *"Publiciste"* z dn. 18 grudnia 1806 r. Fałszerstwo potępił zresztą sam Napoleon w liście z dnia 31 grudnia t.r. z Pułtuska: "Na co nam potrzebny Kościuszko, skoro chce zostać w spokoju? Naród polski nie jest narodem, który się porusza proklamacjami". Kościuszko zaprotestował przeciwko fałszerstwu w piśmie do Fouché'go z dn. 22 grudnia t.r.

SCRUTATOR

* *A Victorian Diarist. Extracts from the Journals of Mary, Lady Monkswell* 1873— 1895. *Edited by the Hon. E. C. F. Collier. Londyn, John Murray*, 1944; *st. XXV i 1nl,* *i* 284 *i tabl.* 4.

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Szanowny Panie Redaktorze!

Szczerze wzruszony i "wzięty" pięknym artykułem wstępnym p. Tadeusza Jerzego Bulsiewicza w Nr. 49 "Polski Walczącej", proszę Pana Redaktora uprzejmie o wyjednanie mi u Autora pozwolenia na uczestniczenie w zainicjowanej przez Niego zbiórce na rannych w Polsce.

Choć nie mam żadnej legitymacji do znalezienia się pomiędzy tymi, do których zwrócił się p. Bulsiewicz, to jednak, jako członek naszej jednej, polskiej rodziny — "ściągnąłem się jak tam mógł" i przesyłam mój udział — maksymalny, na jaki mnie stać — może nawet — na jaki mnie nie stać, ale — kamień by trzeba mieć w piersiach, a nie serce, by po takim artykule nie ściągać z grzbietu ostatniej koszuli.

Przekazując ten mój datek do rąk p. Bulsiewicza, zechce Mu Pan Redaktor pogratulować i zacnej inicjatywy, i poczciwego nastawienia, i pięknego pióra, a nadto — złożyć ode mnie, od mojej żony i od mego syna /troje nas tu jest i dlatego kwota jest 3 funty/ najserdeczniejsze życzenia świąteczne, przede wszystkim szybkiego powrotu do pełnego zdrowia.

Z wyrazami wysokiego poważania

Stanisław Sobecki

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych dla rodziny, przyjaciół i kolegów — £2 na pomoc Warszawie, £1 na "Błękitny Fundusz" składają.

Andrzej Ewa i Maciej Miszewscy

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na £1 dla rannych Armii Krajowej zamiast życzeń świątecznych dla przyjacół i znajomych polskich.

Z poważaniem

mar. Andrzej Pajączkowski

Zamiast życzeń świątecznych składają K. Żarow i W. Komorowski £2 /dwa/ na "Błękitny Fundusz" w myśl wezwania "Polski Walczącej".

* * *

Kadra i ochotniczki obozu P.W.S.K. zamiast słodyczy na choinkę przesyłają na "Błękitny Fundusz" money order na 51 sh. /pięćdziesiąt jeden szylingów/.

Świetliczarka Obozu Rajkowska E.

* * *

Załączone przy niniejszym 15 dolarów i 2 funty przesyłamy na "Błękitny Fundusz Rannych A.K."

B.B.C.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i prezentów — dla rannych Armii Krajowej £3 /trzy funty/ przesyła

C. Widera

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu przesyłam postal order na sumę £15.10.0 /słownie: funtów szt. piętnaście, sh. dziesięć/ zebraną przez oficerów s/s "Kielce" z przeznaczeniem na "Gwiazdkę" dla rannych żołnierzy polskich, przebywających w szpitalach na terenie Wielkiej Brytanii.

Z poważaniem

Kapitan s/s "Kielce"

* * *

Przesyłam £1 /jednego funta/ na fundusz dla "rannego żołnierza" zamiast życzeń świątecznych.

plut. S. Jan

* * *

Dla uczczenia pamięci Adama Wacława Szperbera, podporucznika broni pancernej, poległego na polu chwały w walkach 1 Dywizji Pancernej w Normandii w październiku 1944 r., przesyłamy w załączeniu £4 /cztery funty/ z przeznaczeniem na paczki dla rannych żołnierzy 1 Dywizji Pancernej.

Rodzice Przyjaciela

DLA POLAKÓW W ROSJI

Przesyłam 10 sh. na pomoc Polakom w Rosji.

Marian Strumieński

* * *

Na pomoc dla Polaków w Rosji przesyłają z 13.M.U. Henlow — P.C.K.: sierż. Chłąd Alfred 2/6, plut. Krauze Józef 2/6.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Jadwiga Dienstlowa zamiast powinszowań świątecznych 10 sh.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Dr. B. Czemplika £3.15.0 na szpital im. Sikorskiego składają.

III i V rok Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edinburghu

NA PACZKI OD SERCA

Uzyskany rabat w sumie sh.10 d.6 z rozsprzedaży na terenie jednej z Polskich Eskadr Technicznych w m-cu listopadzie "Dziennika Polskiego Dziennika Żołnierza", "Polski Walczącej" oraz "Skrzydeł", przekazuję Postal Order'em na polskich jeńców wojennych w Niemczech.

M.Z. plut.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych niżsi funkcjonariusze Ministerstwa Informacji i Dokumentacji przesyłaja £10 na jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Por. J.H. z S. za miesiące październik, listopad i grudzień na paczki dla jeńców 48 sh.

RANNI ŻOŁNIERZE

pochodzący z terenów Polonii Zagranicznej proszeni są o podawanie swoich adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Przesyłam M.O. Nr. VM 63914 na kwotę £3, jako nieprzyjęte honorarium przez ks. dziekana S. za odprawienie nabożeństwa żałobnego za spokój dusz ś.p. por. Wątek E. i kpr. podch. Orsini M. w dniu 6.XII.1944, z przeznaczeniem na "Polish Children Rescue Fund".

E.C.

* * *

From Mrs. A. Allin, Cromarty, Gubbins Lane, Harold Wood, Essex.

Please accept the small donation of £2 in sympathy.

* * *

Przesyłam w załączeniu postal order na £1, który złożyła za moim pośrednictwem na Polish Children Rescue Fund Mrs. J. Grubb, Falkirk, Scotland — zamiast życzeń świątecznych i noworocznych dla polskich przyjaciół.

Ppor. sap. G.T.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14 WLKP. DYW. PIECH.

P.T. Redakcja Tygodnika "Polska Walcząca",

Proszę uprzejmie o przyjęcie datku 5 sh. w P.O. na "Fundusz Wdów i Sierót po Poległych Żołnierzach 14 Wlkp. Dyw. Piech."

Czołem!

A.J.S.

Na pomoc Warszawie: £1,664

Z polecenia Pana Generała Dyw. Norwid-Neugebauera, zamiast składania życzeń świątecznych i noworocznych, przesyłam £2 /dwa/ na pomoc dla m. st. Warszawy.

Oficer Ordynansowy T.M. Baranowski

* * *

Dear Sir,

I have the greatest pleasure to enclose a cheque for £17.13.0, the proceeds of a bridge drive held at my house, in aid of the Warsaw Fund.

Yours very faithfully,

/Mrs./ E. M. Archer

* * *

Uprzejmie proszę o przekazanie załączonych kwot na cele niżej wymienione. Pieniądze te zostały złożone przez szeregowych kursów radiotelegraficznych zamiast życzeń dla dowódcy kompanii kpt. B.K.

1/ "Na Pomoc Warszawie" £8 sh.2.

2/ "Na Rannych Żołnierzy Polskich" £6 sh.14.

3/ "Ratujmy dzieci" £3.

Równocześnie przekazuję £2 na pomoc Warszawie. Jest to kwota złożona przez żołnierzy drużyny d-cy z okazji moich imienin. Ogółem przekazuję pocztą £19 sh.16.

Szef Kompanii st. sierż. S.J.

* * *

W załączeniu przesyłam postal order na sumę £1 zamiast życzeń świątecznych i noworocznych na pomoc dla "Dzieci Warszawy".

Martynowscy

* * *

Zamiast rozsyłania życzeń świątecznych i noworocznych przesyłam £5 /pięć funtów/ na pomoc Warszawie.

Maria Przybytkowa

* * *

Zamiast rozsyłania życzeń Świątecznych i Noworocznych składamy za pośrednictwem "Polski Walczącej":

Na rannych żołnierzy £5
Na sieroty po poległych w Wwie £5

Razem £10

R. Szymańscy

Przy niniejszym przesyłam przekaz pocztowy na sumę £1, z prośbą o przekazanie tej kwoty na rzecz pomocy Warszawie.

Z żołnierskim pozdrowieniem.

J.S.

* * *

Przesyłam kwotę £30 sh.5 d.9 /słownie: trzydzieści funtów, pięć szylingów i dziewięć pensów/, złożoną przez szeregowych Kompanii Szlakowej i Brygady Grenadierów na rzecz jak następuje:

Pomoc ludności Warszawy £14 sh.16 d.7.

dla rannych żołnierzy £9 sh.3 d.9.

Polski Czerwony Krzyż £6 sh. 5 d.5

Dowódca Kompanii kpt. K.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych na pomoc Warszawie £1 wpłacił

Zdzisław L. por. kaw.

* * *

Oficerowie oraz szeregowi Rzutu Zaop. P.A.Mot. złożyli kwotę £25 sh.2 d.1¼.

Szeregowi I Dyonu . . . P.A. Mot. kwotę £40 sh.14 d.2 z przeznaczeniem na pomoc dla ludności Warszawy.

Załączam M.O. na kwotę £65 sh.16 d.3½ z prośbą o przekazanie na powyższy cel.

Oficer Opieki P/15

* * *

Przesyłam £1 sh.10 na pomoc dla cierpiącej Warszawy.

M. Płoszajska

* * *

Z okazji imienin mojej Matki, pozostałej w Kraju składam £1 na "Pomoc dla Warszawy".

K.W.

* * *

W załączeniu przesyłam £1 /jeden funt/ na "Sieroty Warszawy" przysłany na moje ręce przez Miss Buchan, The Bank House, Peebles.

Oficer opieki /J. S. ppor./

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych składam £1 /jeden funt/ na fundusz pomocy Warszawie.

Maria Kozłowska

* * *

Załączam £1 /jeden funt/ na fundusz pomocy Warszawie — wygraną w brydża w Domu Żołnierza w Spott House.

M. Kozłowska

* * *

Proszę o przyjęcie załączonej kwoty £5 /słownie: pięć funtów/ na "Pomoc Warszawie".

Kwotę tę ofiarowała Miss Heeps.

Adam Tarczyłło

* * *

Zamiast udziału w przyjęciu pożegnalnym dla p. Min. Grosfelda składam bezimiennie sh.15 /szylingów piętnaście/ na fundusz pomocy ludności Warszawy.

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych przesyłam £2 na pomoc Warszawie.

Józef Mitowski

* * *

Zamiast życzeń świątecznych w myśl apelu P.C.K. przesyłam £1 na pomoc Warszawie.

Szeliga Jankowski

* * *

Przesyłam postal orders na sumę £2. Proszę uprzejmie o przekazanie £1 do Funduszu Ratowania Dzieci Polskich, £1 do funduszu Pomocy Ludności Warszawy.

E. Bagiński

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych przesyłamy 2 funty /dwa funty/ "Na pomoc dla Kraju".

Zygmuntowie

* * *

Zofia i Olgierd Witwortowie zamiast przesyłania życzeń świątecznych składają £2 na fundusz Pomocy Warszawie.

Przesyłam sumę £3.17.6 /trzy funty, siedemnaście szylingów i 6d./ na pomoc Warszawie.

R.D.

* * *

II Dywizjon . . . P.A.M. wpłacił kwotę £65.2.8½ /słownie: sześćdziesiąt i pięć funtów, dwa szylingi i osiem i pół pensa/ na rzecz dzieci Warszawy.

Oficer opieki P.15

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę £1.4.6, złożoną przez Mr. and Mrs. Comme w Croft na "pomoc Warszawie".

K. Junartowicz

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych — składam na fundusz pomocy mieszkańcom Warszawy — £1 /jeden funt/.

Wanda Orłowska

* * *

Zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych przesyłamy Postal Order na sumę £2 /dwa funty/ na pomoc Warszawie.

Kan. Zbigniew i Andrzej Wojciechowscy z 1 Dywizji Pancernej

* * *

Zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych oraz zamiast podziękowań składają:

Józefa i Witold Kolankowscy £2.0.0
Zosia i Witek Kolankowscy ... 5.0

na Pomoc Dzieciom Warszawy /w załączeniu czek na £2.5.0/.

* * *

Przesyłam czek na £4.9.2 /cztery funty, dziewięć szylingów, 2d./ zebrane ze składek w czasie stoiska z fotografiami o Polsce, urządzonego w Nottingham Cooperative Society w październiku b.r.

Sumę powyższą proszę przekazać na Fundusz Odbudowy Warszawy

J. Andrychowski F/O

W załączeniu przesyłam Money Order No. CK. 55-359 na kwotę £15.3.2 /słownie: funtów szt. piętnaście, szylingów trzy, pensów dwa/.

Kwota ta przedstawia honoraria za prace rysunkowe wykonane przez ppor. Gramskiego na wystawie malarstwa i grafiki na R.A.F. Station X. i została przez niego ofiarowana na natychmiastową pomoc "Dzieciom Warszawy" przy czym ofiarodawca prosi, aby — jeżeli to jest możliwe — pieniądze te były niezwłocznie przekazane na powyższy cel do Czerwonego Krzyża w Sztokcholmie.

Polski Senior Oficer Inż. K. Wołowski

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. Nr. VR 64070 na kwotę £3 sh.11 d.3 /słownie: trzy funty, jedenaście szylingów, trzy pensy/ zebraną przez żołnierzy grupy specj. Obozu Nr. 6 komp. 1-sza, z przeznaczeniem na "Fundusz Pomocy Warszawie".

ppor. Z.R.

* * *

£1 na Warszawę zamiast powinszowań świątecznych i noworocznych

Jerzy Zaremba z żoną

* * *

Przesyłam £4 /cztery funty/ "Na pomoc dla Kraju".

Julia Nowakowa

* * *

Przesyłam "Postal Order" na sumę £0.12.6 /dwanaście szylingów i 6d./ wręczoną na ręce kpt. mar. Ł. przez panią Kirk z Glasgow, z przeznaczeniem na pomoc Warszawie.

S.N.K.

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £7 sh.13, które złożyli żołnierze Artylerii Przeciwpancernej I Korpusu na Pomoc dla Warszawy.

Witold Kucharski

* * *

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych w załączeniu przesyłamy money order na sumę £5 /pięć funtów/ z prośba o przekazanie na fundusz pomocy Warszawie.

R. L. Choynowscy

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

NoV²Y — ROK



mienia z powstańcami w Grecji. Z końcem 1945 roku wejdzie w życie Karta Atlantycka /już podpisana/, która obowiązywać będzie na czas wojny, jak również na pierwsze lata pokoju.

Zapoczątkowana w 1939 roku walka trwać będzie nadal pomimo złych warunków atmosferycznych.

Z końcem 1945 roku zostanie ustalone miejsce spotkania wielkiej trójki — o ile nie zajdą inne zmiany. Podbite narody otrzymają wolność o ile wyrażą na to zgodę i aprobatę wielkie mocarstwa.

Między 1 grudnia a 24 grudnia 1945 r. żołnierze będą mogli przesyłać życzenia świąteczne oraz "szczęśliwego Nowego Roku" w 1946!

PRZEPOWIEDNIE NA ROK 1945

Rok 1945 zacznie się punktualnie o godz. 24 w nocy po dniu 31 grudnia 1944 r. W pierwszym okresie 1945 r. walki na frontach nie zostaną wstrzymane. Między 3 stycznia 1945 r. a 4 stycznia 1945 r. wielcy mężowie stanu powezmą doniosłe uchwały, aby po wojnie nastąpił pokój. Chociaż padną zapowiedzi pokoju, to jednak na frontach będzie można usłyszeć poszczególne strzały.

Między 1 stycznia 1945 a 31 grudnia 1945 r. zostaną rzucone dalsze hasła, jak: "Walka z wrogiem" — "Walka o demokrację" — "Walka o uwolnienie narodów" — i t.d. W tym to okresie dojdzie do porozu-

PRZEPOWIEDNIE NA SERIO

W pierwszym kwartale 1945 roku jeden z pułkowników otrzyma szlify generalskie.

Korespondencje urzędowe zostaną podwyższone o 100%.

W księgarniach polskich ukaże się nowe pismo polskie p.t. "Pojutrze Polski" oraz inne ulotki.

Prace zlecone nie zostaną obcięte.

Intrygi, plotki, donosicielstwa — nie zostaną zredukowane.

Protekcja w przyszłym roku nadal będzie obowiązywać.

Ksawery Pruszyński nie wycofa się z pracy publicystycznej.

W roku 1945 nie dojdzie do zgody pomiędzy Polakami na emigracji.

W ATENACH



Żołnierz brytyjski:

—Panie, panie, oddaj pan broń i nie udawaj pan Greka . . .

SZCZERY . . .

Na przyjęciu świątecznym u Szkotów, pani domu zapytuje polskiego żołnierza:

—Powiedz mi Władek, tylko szczerze, jakie potrawy szkockie najlepiej ci smakowały przez tych pięć lat w Szkocji?

Polski żołnierz długo myśli, aż wreszcie mówi:

—Chyba mleko! . . .

AUTENTYCZNE

W pewnym biurze wojskowym odzywa się telefon:

—Przepraszam, czy mogę mówić z panem C . . . ?

—W wojsku nie ma panów! U nas w biurze urzęduje tylko podporucznik C . . . !

—To w takim razie, czy mogę mówić z poetą C . . . ?

WŚRÓD POLSKICH PROFESORÓW

—A ja panu mówię, że ta cała awantura w Grecji powstała dlatego, iż Anglicy nie mają wykształcenia klasycznego!

—Dlaczego?

—Nie znają greki . . .

JESZCZE JEDEN TALENT

W pewnym polskim gronie w Londynie obgaduje się poszczególne osoby ze świata politycznego:

—Czy pani wie, że pan X . . . jest wielkim kobieciarzem?

—To ciekawe!!! Ja myślałam, że jest tylko analfabetą . . .

W POLSKIM SZPITALU

—Panie Kolego, proszę mi poradzić, czy doktór X . . . jest dobrym lekarzem?

—Też pytanie!!! To znakomity lekarz! Miesiąc temu został nawet kapitanem! . . .

WIZYTA W GRECJI



Premier Churchill:

—Te ruiny, to chyba z czasów sprzed Chrystusa?

—Nie sir, to sprzed tygodnia . . .

PRZED RZEŹBĄ VENUS Z MILO



—John, w tej Grecji to gorzej, niż we Francji!

—Dlaczego?

—We Francji za kolaboracjonizm obcinali dziewczynom włosy, tu zaś — ręce . . .

DOBRY ŻART — FUNTA WART

—Pan wie, że cała "Lwowska Fala" dostała awans na podporuczników?

—Co pan mówi??? Dlaczego?

—Ponieważ żołnierze na sali nie chcieli ich słuchać . . .

HAPPY NEW YEAR?



Tekst i rysunki: TONY

Zarząd Związku Rzemieślników i Robotników Polskich w W. Brytanii, prosi swych członków żołnierzy przebywających w szpitalach lub na rekonwalescencji o podanie swych adresów do Sekretariatu Związku 66, New Cavendish Street, London, W.1., celem przyjścia im z pomocą.

SPIS RZECZY:

51 rannych żołnierzy z I. Dyw. Panc. ze szpitala angielskiego w Buxton serdecznie dziękuje Lotnikom Polskim z Newton za Ich bezinteresowną opiekę oraz piękne podarki gwiazdkowe.

ŻYCZENIA

Dowódca i żołnierze Baonu Strzelców Podhalańskich zasyłają serdeczne życzenia z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku wszystkim żołnierzom 1 Dywizji Pancernej przebywającym w szpitalach w W. Brytanii, Francji, Belgii i Holandii: szybkiego powrotu do zdrowia, a potem do Polski.

Dowódca Baonu

P. HEDINGER brat Mieczysława proszony jest o podanie swego adresu do Redakcji "Polski Walczącej".

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.